



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor Maryan Gawalewicz.

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KANTORZE DRUKARNI

Piotra Laskauera i S-ki.

Ulica Ś-to Krzyska № 11.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincji z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincji z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

ŚLÓWKO WYJAŚNIENIA

w sprawie Tow. pomocy naukowej dla kobiet.



W n-rze 44-ym „Bluszczu“ pomieściliśmy artykuł p. Wandy Żeleńskiej, byłej uczennicy Gabryeli (Narcyzy Żmichowskiej), z projektem uczczenia pamięci zasłużonej poetki przez utworzenie instytucji Jej imienia, mającej na celu dostarczanie pomocy, na razie materialnej—kobietom, które pragną nauki i wiedzy, a z braku środków i poparcia tak często muszą wyrzekać się swoich wyższych aspiracji.

Wiele pism z uznaniem dla pomysłu wnioskodawczyni podniosło ten projekt; powtórzyły go i niektóre dzienniki galicyjskie, zrozumiały dobrze, o co autorce chodzi. W sprawie tej jednak otrzymaliśmy dwa listy, dowodzące, że nie dość jasno przedstawiła się ona niektórym czytelnikom; z Krakowa odezwała się pani Kazimiera Bujwidowa, z Warszawy pani Walerya Marrené-Morzkowska.

Pani Bujwidowa pisze:

„W n-rze „Nowej Reformy“ z dnia 7-go listopada r. b. w notatce p. t. „Pamięci Gabryeli“ powtórzonym został z „Bluszczu“ warszawskiego projekt p. Wandy Żeleńskiej, dotyczący utworzenia pierwszego Towarzystwa pomocy naukowej dla Polek. Projekt ten nad wyraz sympatyczny, dowodzi wszakże, że nigdy nie jest dość reklamy w sprawach poży-

tku publicznego. Stowarzyszenie bowiem pomocy naukowej dla Polek istnieje od lat 15, t. j. od śmierci Kraszewskiego, dla uczczenia pamięci którego zostało założone. Wiedzą o niem dobrze biedne dziewczęta, zgłaszające się co rok o stypendya lub pożyczki; wiedzą o niem członkowie Stowarzyszenia, dzięki ofiarności których Stowarzyszenie wypłaciło do dziś dnia około 20,000 koron zapomogi.

„Zwracamy na to uwagę Szanownej inicjatorce projektu, dodając, że stowarzyszenie, które już posiada fundusz imienia Kraszewskiego, z całą skwapliwością gotowe jest podjąć myśl uczczenia Gabryeli Żmichowskiej przez utworzenie osobnego funduszu jej imienia.

„Oto świeżo musiał wydział Stowarzyszenia z powodu braku środków dać odpowiedź odmowną czterem kandydatkom, słuchaczkom II-go kursu filozofii, a jednej na opłacenie doktoratu po pięcio-letnich uciążliwych studiach medycznych.

„Również odmownie załatwiono podanie pendentki, żądającej środków na przygotowanie się do egzaminu z rachunkowości państwowej. A wszystkie kandydatki były istotnie potrzebujące; 2—3,000 koron byłoby z pewnością dopomogło tym rwącym się do nauki i do pracy biedaczkom w dojściu do zakreślonego celu.“

Oprócz wytknięcia małej pomyłki w imieniu znakomitej poetki, zapewne przez nieuwagę nazwanej Gabryelą, zamiast Narcyzy Żmichowską, nie mielibyśmy nic do nadmie-

nienia z powodu listu szanownej przewodniczącej „Stowarzyszenia pomocy naukowej dla Polek“ w Krakowie.

W surowszym tonie traktuje tę samą sprawę znana zaszczytnie powieściopisarka nasza, p. Walerya Marrené-Morzkowska, pisząc do nas w ten sposób:

„Bardzo chwalebna jest myśl pani Żeleńskiej przyjscia z pomocą kobietom pracującym naukowo, na szczęście jednak nie p. Ż. pierwsza ją powzięła i nie czekano też, aż ją ogłosi drukiem, bo dobra jej myśl zrealizowaną została od lat szesnastu, wprowadzić nie na cześć znakomitej autorki, ale pod wezwaniem Kraszewskiego, który dziwnym zbiegiem okoliczności dał pierwszy początek Stowarzyszeniu, może nie odpowiadającemu w zupełności pojęciom twórcy „Szalonej.“ Stowarzyszenie zawiązało się po jego śmierci z następujących powodów:

„Kiedy Kraszewski po trzęsieniu ziemi w Nizy przywiezionym został już beznadziejnie chory do Genewy, młodzież polska, znajdująca się na tamtejszym Uniwersytecie dozorowała go nieustannie, aż do chwili śmierci. A wówczas rodzina złożyła dla niej pewne wynagrodzenie, którego młodzież nie przyjęła dla siebie, ale przekazała na pomoc naukową dla koleżanek genewskich, które aczkolwiek nie zupełnie pozbawione pomocy, dostawały niekiedy szczupłe stypendya raperswylskie, jednak potrzebowały jej więcej od niej.

„Fundusz pierwiastkowo bardzo nie wielki,

powiększyły następnie składki, a może i ja cokolwiek przyłożyłam się do szczęśliwego rezultatu, chociaż nie powołana jeszcze przez panią Żeleńską.

„Dla zarządzania temi funduszami utworzono „Stowarzyszenie imienia Kraszewskiego pomocy naukowej dla Polek,“ którego kapitał urósł obecnie do poważnej cyfry *), a wiele przyrodniczek i doktorek medycyny korzystało z tej pomocy.

„Stowarzyszenie, zatwierdzone przez rząd galicyjski, składa corocznie sprawozdania z obrotu swoich funduszy, siedliskiem jego jest Kraków, a na jego czele stoi pani profesorka Bujwidowa, to też trudno mi zrozumieć, jakim sposobem pani Żeleńska, zajmując się—jak sama pisze—gorliwie potrzebami kobiet, może o jego istnieniu nie wiedzieć.

„Zapewne byłoby rzeczą pożądaną, by mnożyły się fundusze, których zawsze mniej jest, niż potrzeba, a zasługi Narcyzy Żmichowskiej są tak wielkie, iż wszyscy przyklasnęliby utworzeniu stypendyum jej imienia, na to jednak osobnego Stowarzyszenia nie potrzeba, a tem mniej nie możnaby go nazwać *pierwszem*.

„Niech pani Żeleńska uda się do pani Bujwidowej, mieszkającej w tem samym mieście, co i ona, a otrzyma niezawodnie wszelkie objaśnienia, szczegóły i spis stypendystek Stowarzyszenia, który świadczy najlepiej o jego pożytecznej działalności.“

Przekonani jesteśmy, że p. Żeleńska z tych życzliwych wskazówek nie będzie potrzebowała korzystać, gdyż o istnieniu Stowarzyszenia krakowskiego musi być równie dobrze, jak szanowna autorka drugiego listu, powiadomioną.

Całe nieporozumienie powstało ztąd, że projekt pani Żeleńskiej dążył do utworzenia Towarzystwa pomocy naukowej—w Warszawie, a zarówno pani Bujwidowa, jak i pani Morzkowska, która—jak sama o sobie pisze—„przyłożyła się do szczęśliwego rezultatu“ w swoim czasie, radeby nie tylko tytuł pierwszeństwa, ale i wyłączność pożytecznej działalności zachować dla krakowskiego Stowarzyszenia.

Dażenia te są niezaprzeczenie uznania godne i łatwo zrozumiałe; zawsze się gorliwiej dba o własne dziecko, które się wychowywało, względem którego położyło się pewne zasługi, aniżeli o cudze. Nie mniej w tym wypadku ta piękna macierzyńska ambicya ma trochę i macierzyńskiego zasłabienia.

Czyż dlatego, że jedno Stowarzyszenie istnieje już w Krakowie, nie może powstać drugie w Warszawie, zwłaszcza z szerszym zakresem działania, z większymi widokami rozwoju, z możliwością zebrania znaczniejszych funduszy i bezpośrednimi środkami dostarczania pomocy tu na miejscu kobietom, pożądanym nauki?..

Może właśnie dlatego pani Żeleńska, znając nieświetny stan krakowskiego Stowarzyszenia, które w przeciągu piętnastu lat istnienia zdołało zaledwie 10,000 guldenów rozdać

na swoje cele, a w ostatnich czasach najgodniejszym i najpotrzebniejszym musiało odmówić pomocy, zapragnęła na większą skalę stworzyć w Warszawie taką instytucję.

Szkoda wielka, że zamiast rozważyć głębiej pobudki, p. Morzkowska zapoznała rzeczywistość intencję pani Żeleńskiej, i zrobiła jej łatwy zarzut ignorancyi.

Chodzi o to, aby „Towarzystwo pomocy naukowej dla kobiet“ powstało w Warszawie i tutaj było *pierwsze*, aby z czasem dało przykład innym miastom Królestwa Polskiego, aby mogło tutaj werbować swoich członków, tu się odzywać do poparcia publiczności, tu zbierać fundusze z koncertów, odczytów, wydawnictw, składek i t. p., tu wreszcie zaspakajając miejscowe potrzeby przyszłych swoich stypendystek.

Dążność ta widoczną była zresztą z całego artykułu; instytucja warszawska miała nosić firmę znakomitej poetki, która w Warszawie mieszkała, tworzyła, umarła i na Powązkach spoczęła, instytucja ta miała być tutaj dla niej pomnikiem moralnym i tu ją przypominać następnym pokoleniom. Na patronki przyszłego Towarzystwa pani Żeleńska wskazywała „kobiety wielkiego serca i światłego umysłu:“ Orzeszkową, Deotymę, Konopnicką, Kowerską, Rodziewiczównę, a między innymi i panią Marrené-Morzkowską, a więc same autorki najbliższe z Warszawą złączone.

Właściwe jej zamiary nie mogły tedy ulegać żadnej wątpliwości, że projekt dotyczył „pierwszego Towarzystwa pomocy naukowej dla kobiet“—w Warszawie.

Stowarzyszenie krakowskie ma równie poważne zadanie, jest także godne uznania dla swych celów, dla gorliwości swych protektorów, zasługuje niewątpliwie na większe poparcie, ale ono ma swój zakres, ma swoje bliższe potrzeby i nie może wystarczyć na wszystkie strony.

System centralizacji w tym wypadku nie byłby ani korzystnym, ani praktycznym, ani możliwym; tego rodzaju instytucje, które są potrzebą miejscową, nie mogą rościć pretensyi do wyłączności, do przywileju. Im więcej ich powstawać będzie, tem lepiej dla ogólnego celu.

Pozwalamy sobie absolutnie nie podzielać zdania pani Morzkowskiej, że wobec istnienia Stowarzyszenia krakowskiego, innego Towarzystwa już nie potrzeba; według takiego rozumowania należałoby odmówić racyi bytu Towarzystwu muzycznemu, Towarzystwu sztuk pięknych, i rozmaitym innym instytucjom, popierającym polską twórczość, artyzm, piśmiennictwo w Warszawie, dlatego tylko, że podobne istnieją już w Krakowie.

Nie, nie ignorancya podyktowała pani Żeleńskiej projekt pierwszego Towarzystwa pomocy naukowej dla kobiet w Warszawie, ale właśnie zrozumienie miejscowej potrzeby i rozważne obliczenie środków, któreby do jego pomyślniej działalności i rozwoju dopomogły.

Po tem wyjaśnieniu sądzimy, że wszystkie „kobiety wielkiego serca i światłego umysłu,“ do których pani Żeleńska i panią Marrené-Morzkowską zaliczyła, rozumieją właściwą intencję wnioskodawczyni i projektowi jej poparcia nie odmówią, a w pierwszym rzędzie

właśnie autorka „Pana Januarego,“ znana ze swojej gotowości do działań społecznych.

M. G.



METAFIZYK.



(Dokończenie).

To też, gdy ciotka skończyła swą oracyę, pan Stanisław z wrodzoną sobie rzutkością rzekł:

— Dobrze! Niech mi ciocia znajdzie żonę.

Żona rychło się znalazła; znalazła ją raczej ciotka, wszystko przewidująca.

Żoną tą miała być córka bogatego, warszawskiego piwowara.

I tu znów objawiła się wyższość pana Stanisława.

Nie obraził się kondycją przyszłego teścia, bo wiedział, że nawet w duszy człowieka warzącego piwo, znajdują się nieraz myśli, jeśli nie wzniosłe, to przynajmniej niekoniecznie niskie; uczucia, jeśli nie poetyczne, to przynajmniej nie rażące pospolitością.

Ale ciotka brała się ostro do rzeczy!

Młodych ludzi poznał, papę piwowara usposobiła życzliwie dla metafizyka; co więcej, znając z długiego, życiowego doświadczenia psychologię ludzi praktycznie pracujących—poradziła bratankowi, by zjednął sobie względy ewentualnego teścia przysługą zupełnie ludzką.

O tę przysługę omal że się nie rozbiły przedwstępne rokowania, mające utworzyć drogę do sojuszu między dwoma rodami.

Pan Stanisław oburzył się straszliwie na ciotkę:—ta dobra kobieta tak dalece nie mogła wżyć się w sposób myślenia swego bratanka, że ośmieliła się żądać od niego rzeczy, tak dlań przykrej, że prawie niemożliwej.

Piwowar miał groźnego współzawodnika, który piwem swem zalewał stolicę, i co gorsza, o zgrozo! piwem nie krajowem, ale zagranicznym, podobno nawet niemieckiego pochodzenia!... A ludzie pili to nieczne piwo, skuszeni ceną przystępniejszą, nie dbali o zasady polityczne, o ideę wspierania przemysłu krajowego!... To piwo trzeba było wyrugować, agitacyę przeciw niemu wieść namiętną, przysłużyć się nią teściowi, i tego żądała ciotka... od pana Stanisława!

Usłyszawszy potworną propozycję oddania swych usług na kupiecką agitacyę, pan Stanisław zbłądził. Zaboląła go ta naiwność ciotki.

Pohamował się jednak, nie odrzekł ani słowa, owszem, zdając sobie sprawę, że mędrzec do wydania stanowczej odpowiedzi potrzebuje choć krótkiej chwili namysłu—namyślił się. I czy to, że był się już przywiązał do owej myśli o małżeństwie, czy że umysł, dotąd zaprzątnięty abstrakcją—zapragnął nagle w szerokim locie rozwinąć skrzydła geniuszu jeszcze na obszary nie znanej mu dotąd pracy społecznej—dość, że zanurzył się w głębokości, niedostępne pospolitej naturze ciotki, i rzekł po chwili milczenia: „Dobrze!“

I była to chwila ogromnie poważna. Bo w tym mieszczańskim pokoiku, wśród mebli

*) W roku zeszłym Stowarzyszenie rozporządzało sumą 6,604 złr., miało zaś tylko 84 członków zwyczajnych i 6 członków-zalożycieli.

brzydkich, obić różowych w żółto-zielone kwiatki, w obecności oleodruków, rażących dobry smak, w tej atmosferze tchnącej pospolitością — duch filozofa łamał się i ważył myśl wielką i czynił ofiarę z godności pozornej na rzecz wyższego ideału.

Na tem „Dobrze!“ — tak niezrozumianem przez ciotkę, zakończyła się rozmowa.

Pan Stanisław wyszedł i tego samego dnia jeszcze rozpoczął agitację.

Nowy zakres pracy porwał go; pracował dla idei, a ta dodawała mu mocy i wytrwałości w przedsięwzięciu. Uwijał się z restauracji do restauracji, z kawiarni do kawiarni, z baru do handelku. Ciotka ofiarowała mu dość pokaźny fundusz agitacyjny, — a on używał go roztropnie, bo choć w nowym życiu niejedna pokusa go nęciła, nie dał się nigdy uwieść znajomym lub nieznanym, ale cały czas, spędzany w jadalniach, poświęcał kosztowaniu piwa i sumiennej szermierce wymownym słowem.

Trzymał się zaś taktyki, którą wyrobiła mu w jednej niemal sekundzie przyrodzona bystrość, taktyki tak wytrawnej, że do wyrobienia jej umysły pospolite potrzebowałyby długoletniego doświadczenia. Wchodził do jadalni z twarzą obojętną, siadał, zamawiał piwo.

Naprzód przypatrywał się butelce, lub gdy służba piwo w szklance przynosiła, pytał: — Z jakiego browaru?

Wówczas dopiero kosztował, a skosztowawszy, kazał wołać gospodarza.

I odbywała się tu zawsze ta sama scena, różna jedynie mniej lub więcej groźnym nasrojeniem brwi filozofa, stosownie do tego, czy osoba gospodarza budziła w nim większą lub mniejszą ufność, — silniejszy lub słabszy opór przewidywać kazała.

Czasem tylko, ale rzadziej niestety, rozchmurzał się pan Stanisław. Zdarzało się to wówczas, gdy spotykał się z piwem przyszłego teścia.

Po groźbach lub pochwałach następowało nasunięcie kapelusza na oczy lub na tył głowy, na znak gniewu lub zadowolenia. A wychodząc kończył rozmowę z gospodarzem albo słowami: „Bardzo dobre piwo, najlepsze w kraju, zrobisz pan na niem majątek!“ — albo twarz jego stawała się straszną, a usta wyrzucały ponure wyrazy: „Noga moja tu nie zostanie, dopóki pan nie przestanieś truć swego społeczeństwa marnem piwem wrogów!“

Tak pracował pan Stanisław od południa do późnej nocy, z zupełnym zaparciem samego siebie, nie zważając nawet na to, że tyć poczyna. Bo pracował dla idei, która krzepiła w mozolnym, lecz szlachetnym trudzie.

Aż wreszcie przyszła chwila nagrody.

Pan Stanisław oświadczył się, a teść, świadom jego społecznej zasługi, roztworzył mu ramiona.

I byłoby się wszystko dobrze skończyło, i żadna chmura nie byłaby nigdy przyeimiła szerokiego widnokregu myśliciela, gdyby nie złość ludzka, która zawsze jest sprawczynią nieprzewidzianych, nieprawdopodobnych niemal przykrości.

Oto na drugi dzień po zaręczynach, wpadł jak bomba do pokoju pana Stanisława przy-

szły jego teść; pierś jego potężna oddychała gwałtownie, z twarzy czerwonej i nabrzmiałej iskrzyły się straszne oczy wściekłymi błyskami.

Młodzieniec patrzył nań zdumiony — i nie tracąc wewnętrznej równowagi, zastanawiał się nad dręczącym go w tej chwili zagadnieniem: dlaczego filozofowie zwykle bywają chudzi, a fabrykanci piwa tak często odznaczają się tuszą, nie podobną do wzorów klasycznej piękności. I byłby niezawodnie zagłębił się jeszcze w tę ciekawą kwestję, gdyby go z zamyslenia nie był wyrwał głos teścia, objaśniającego powody swego wzburzenia.

Panu Stanisławowi włos, starannie ułożony, szczytką stanął na głowie, a słowa teścia poczęły go kąsać w serce jak pijawki.

Współzawodnik, wytwórca owego wstrętne-go piwa, ogłaszał po dziennikach, że dowiedział się o agitacji przeciwnika, agitacji prowadzonej w sposób „podły“, przez „nędzne kreatury płatne“, „bez przebierania w środkach.“ W końcu pochwaliwszy z wrodzoną współzawodnikom bezczelnością swój towar, sprawdzał urzędowymi dowodami, że piwo swoje wyrabiał w kraju, w Warszawie i wreszcie groził procesem o odszkodowanie i o obrażę czci firmy!

Dech zamarł w piersiach pana Stanisława. Miałże to być epilog jego działalności na niwie społecznej?

Nie odrzekł ani słowa, jeno z roztropnością właściwą sobie poskromił wzruszenie i zwrócił oczy ku oknu, przez które szły ku niemu zapachy melancholijnej jesieni.

Patrzył w ogród.

Z drzew spadał na wyblakłą trawę liść poźółkły; na suchej gałęzi siedziało kilka wróbli.

Pan Stanisław zapomniał o wszystkim, o piwie, o teściu i innych ziemskich dolegliwościach i w jakiejś słodkiej bezmyślności, znanej tylko wyższym umysłem w chwilach zwątpienia — zaczął liczyć owe wróbli: „jeden... dwa... trzy..., jeden... dwa... trzeci odleciał...“

— No i cóż ty na to?! — zagrział teść potwornym basem.

Ale pan Stanisław nie odpowiadał, tylko usta wydał za ledwie dostrzegalnym uśmiechem pogardy, bo myśl jego, ocuciona z chwilowego omdlenia, uleciała już była w kraj jego ojczysty, w nieskończoną dziedzinę najdumniejszych abstrakcji, najwspanialszej, niezgłębianej metafizyki...

Dopiero gdy piwowar natrętnie nalegać począł, zstąpił znów myślą na niziny.

— Teściu — rzekł wreszcie słabym głosem, — po ślubie zrobimy proces temu łajdakowi!

A w ogrodzie liście poźółkłe spadały wciąż z drzew, jak w piątym akcie „Cyrana...“

Zygmunt Dzierżykray-Morawski.



Z SERDECZNYCH STROF.



I.

Tęsknota moja jest czerwona,
Jak oczy matki — kiedy bez łez
Spogląda w serce dziecka — w którym zczezł —
Ostatni promyk wiary...
Tęsknota moja — jest jak z dzwona
Trwogą wykołysany jęk —
Tęsknota moja — jak przedśmiertny lęk —
Tęsknota moja — jak pożary!...
Tęsknota moja jest — jak schnące drzewa,
Po których wicher melancholię śpiewa,
Tęsknota moja — jak dziewczica,
Kiedy umiera — pod blask księżycy,
Ostatni raz
W ostatnie płacząc wieczory; —
Tęsknota moja — jest jak krwawy pas!
Ja jestem od tęsknoty chory!...
Możesz ty widział — w mroźną noc
Jak się śnieżyca targa moc —
Ja tak tęsknię...
Możesz ty widział suchotnika,
Jak on z dnia na dzień gaśnie, znika —
Ja tak tęsknię...
Możesz ty widział słońca żal —
Jak się do Wisły chowa fal —
Ja tak tęsknię...

II.

Smutnaś ty była owego wieczora,
Niespokojnością żalu taka chora —
Żem z mą istotą całą leciał razem
Z ekstazy płaczu — w kochania ekstazę...
Nie wiem — czy noc ta ponura i czarna
Na suknie tobie i w rzęsy szła cieniem —
Czy jaka krwawość i luna pożarna
W oczach rozżęgła płomień — a płomieniem
Może ci wicher jaki grał w przeciagi...
Aleś mi była — jak te gór posagi
Z czołem — w północnych mroków seledynie —
Na piersi krwawe od słońca, co ginie...
Wyrzucające Bogu — co je stawil, —
Że — je tak ciche — i białe... zakrwawil!
Odtąd my razem na świecie, jak dwoje
Do klatki życia wtrąconych gołębi...
Jako dwa kwiaty — na słoneczne znoje
Zepchnięte wędnać — lub na wicher, co ziębi...
Odtąd my razem, jak dwie niezabudki —
Odtąd my razem: dwa serca — dwa smutki...

III.

Przychodziła na wiosenkę
Sila wielkich chmur —
Toć jej zczerniał welon ślubny —
Wdowstwo piał jej kur —
Ach, zleciała na duszyczkę
Czarnych smutków moc —
Patrzy w jutro, a w tem jutrze
Jeno mrok a noc!

IV.

Góry wy, góry,
Z mroków budowane
Kto wam cisnął smutek
Na zczerniałą ścianę?...

Szczyście ty, szczyście,
 Śniegiem osiwiły —
 Ileś lat ty przeżył...
 Żeś już taki biały?...

Chmuro ty, chmuro —
 Nad szczytami krwawa —
 Przestań gromem błyskać —
 Śmierć im — nie zabawa!

Serce ty, serce —
 Takie niespokojne —
 Słyszysz? — wicher woła:
 Na wojnę!... na wojnę!...

Wacław Guliński.



Nauka o rzeczach.



Historja, w formie, w jakiej dziś bywa zazwyczaj dzieciom i młodzieży wkładana w głowę, uczy prawie wyłącznie dwóch rzeczy: po pierwsze, iż rozwój ludzkości mierzy się potęgą królów, czy innych władców; po drugie, iż potęgę ową tworzą wojny i krwawe bitwy. Zatem więc idzie, że nauka historyi, która ma niby na celu wskazanie, jak ludzkość rozwijała się stopniowo, jak to „dzisiejsze“ wyrastało z „wczorajszego“, wczorajsze zaś z poprzedniego i t. d., przy obecnym sposobie wykładu musi w uczącym się wzbudzić przekonanie, iż postęp przedewszystkiem zawdzięczamy wojnom.

Łatwą jest zaiste podobna nauka, tak dla uczącego się, jak i dla nauczającego. Pierwszemu historia cała wydaje się poprostu bijatyką na prawo i lewo, drugi nie zmęczy się zgoła, gdy nigdy prawie nie komentując nic, nie usiłując, w dostępny dla młodego umysłu sposób, rozjaśnić różnych „dlaczego“, zwraca jedynie uwagę na suche fakty i daty.

Pytanie, czy z takiej nauki może dla uczącego się wyniknąć jakakolwiek korzyść? Śmiało odpowiedzieć możemy, że z nauki takiej uczeń nie zdobywa ani wyobrażenia o społecznym i umysłowym rozwijaniu się ludzkości, ani pojęcia o tem, iż swoje własne socjalne stanowisko zawdzięcza miljonom, żyjącym przed nim. Polityczna historia jest również dla młodocianego umysłu nauką trudną do pojęcia, zwłaszcza przedstawiona, jako ciągle a bezcelowe wznoszenie się państw jednych, upadanie drugich; cóż im przyjsć może z wiadomości, że jakiś król, czy książę, założył państwo, że wzrastało ono i potężniało, że osiągnęło wreszcie szczytu potęgi i że... przyszedł inny król, czy inny książę, który ową potęgę zniósł i rozwiął, jak bańkę mydlaną.

Może to być historją wielce ciekawą i zajmującą, lecz nie nauczy ona innego. Nie nauczy nawet, iż prawda i cnota, choćby i przejść musiały walki i cierpienia, zapanują w końcu i zatrzymają palmę zwycięstwa; przeciwnie, przy zestawianiu faktów historycznych, dojsć musimy do przekonania, że częściej tryumfują: gwałt i podstęp, te zaś prawo zamieniają w bezprawie, a kłamstwu i przewrotności dają przewagę nad prawdą.

Tylko nauka historyi, która wskaże powstawanie kultury narodów, może przynieść pożytek, ale rozumie się, taka nauka łatwą nie jest, nie da się zbyć samemi faktami i cyframi; badanie rozwoju ogólnie ludzkiej kultury, krok za krokiem, to praca mozolna.

Istnieje atoli sposób rozwijania młodych umysłów, który w dużej mierze zastąpić może specjalną naukę o historyi kultury.

Sposób to nader prosty a dozwala badać różne przejawy i zagłębiać się w rozmaitych działach wszechświatowego rozwoju, polega na tem, żeby uwagę młodocianego mózgu zwracać na to, co go w codziennym życiu otacza i obudzić w nim głębokie odczucie i zrozumienie, iż w tem, co mu się tak zwykłym i mało ważnym wydaje, leży ogromna suma umysłowej, duchowej pracy, w obec której wielkość wojennych podbojów maleje.

Przedstawmy sobie (czyli raczej uczniowi), że nie posiadamy tego lub owego przedmiotu, do którego ku wygodzie naszej przywykliśmy. Pojęcie braku owego przedmiotu skojarzy się z pojęciem o jego wartości, dalej zaś obudzi zrozumienie, iż potrzeba było pewnej siły duchowej pracy, aby ów przedmiot dla kulturalnego życia jednostki wytworzyć. Łatwo zrozumieć, iż tak wybitne wynalazki czy wypadki, jak: telegraf, koleje żelazne, odkrycie Ameryki i t. p., pchnęły kulturę gwałtownym rzutem naprzód, lecz kultura nie zaznacza swego postępu (to uczący się zrozumieć musi), jedynie tak gwałtownymi rzutami, ona ciągle, ciągle kroczy naprzód i bez konieczności wielkich przewrotów, rozszerza swe potężne państwo, olbrzymieje. Zaczniemy więc naukę o rzeczach, inaczej naukę historyi kultury, od przedmiotów najzwyczajniejszych, codziennych podpadających pod nasze oczy. Weźmy na przykład zapałkę. Czy nie otwiera się tu przed nami niezmiernie perspektywa postępu? Gdy uczeń nasz zdoła wyobrazić sobie, że znikły ze świata zapałki, zrozumie wtedy, jak znakomity wytwór umysłu ludzkiego posiadamy w tym drobnym kawałeczku drzewa. Wtedy to z zajęciem słuchać będzie opowiadania o kamieniu i krzesiwie, o niciach, maczanych w fosforze, o mozole, z jakim przychodziło praojcom naszym rozniecać ogień. Idziemy dalej, to jest właściwie cofamy się do czasów, gdy i krzesiwo nie było jeszcze znane. Opowiadamy, jak to ludzie chwyтали ogień z drzewa, zapalonego przez piorun, jak ogień ten przenosili do świątyń i tam go strzegli na cześć bogów a pożytek ludzi.

Widzimy z tego jednego przykładu, jak łatwo w ten sposób rozsnuwać nici wstecz. A ileż tu jeszcze dodać możemy o zdobywcy, jaką dla ludzkości był ogień, źródło życia, podstawa wytwórczości, w niezliczonych kierunkach?

Takie i tym podobne kojarzenie się pojęć da się wyprowadzać przy kreśleniu historyi każdego prawie przedmiotu, lecz nie mam tu jedynie technicznej strony na widoku. Nauką o rzeczach obejmujemy różne pojęcia kultury, kulturę całą.

Dziecko, uczeń, mówi: „To *mój* ołówek“ i wypowiada *mój* zupełnie bezmyślnie. Powiedzmy mu zatem, jak wielką wagę posiada to małe słówko, ile to kosztowało walk cięż-

kich i pracy mozolnej, zanim każdy mógł mówić spokojnie: „To *mój* ołówek, *mój* dom, *moje* pole...“

Ludzkość bardzo powoli oswajała się z poczuciem cudzej własności, a co za tem idzie z prawem. My, którzy już przywykliśmy do rządzenia się ustanowionymi prawami, przyznać musimy, że i dziś jeszcze ludzkość pracować powinna nad kształceniem, doskonaleniem praw, każda zaś jednostka winna w pracy tej brać duchowy udział. Gdy się rozumie ogólne zasady praw, zrozumie się też ogólny ustroj państwowy, a słówko *mój* dopomoże do zrozumienia historyi politycznej.

Jakież bowiem znaczenie może mieć cała historia rzymska, jeśli nie jest oparta na głębszym jej [zrozumieniu? Co mogą uczący się pojąć ze słów nauczyciela, który im sucho obwieszcza, iż nasza kultura zbudowana została na starożytniej? I cóż to takiego zacierpnęliśmy z kultury rzymskiej? Prawo! ustroj państwowy! Aha! a cóż to są za dziwy? Nie, jeśli pojęcia te są dla uczącego się niedostępne, lepiej nie mówić mu o nich wcale, nie żądać bezmyślnego powtarzania słów, na podobieństwo wyuczonej papugi. Bezmyślnego paplania uczyć nie potrzeba, aż nadto często spotykamy się z niem na świecie.

Jest jeszcze jeden sposób oceniania, badania najzwyczajniejszych, otaczających nas przedmiotów, sposób, który z punktu widzenia pedagogiki wielce wpłynąć może na wyleczenie z coraz bardziej powierzchownego traktowania każdej kwestyi.

Sposób ten opiera się na rozpoznawaniu drobniogomem wszystkich szczegółów, z jakich się dany przedmiot składa. I tu tak samo, jak poprzednio wobec zapałki, stoimy przed bogactwem pracy umysłowej, zamkniętej w rzeczy, na której codziennie spoczywają nasze oczy.

Przypatrzmy się dokładnie tapecie na ścianie naszego pokoju. Przywykliśmy na nią patrzeć, nie zwracać na nią uwagi, znamy zaledwie ogólny jej ton i zarysy deseni. A przecież, ani jedna linia, ani jeden punkt, ani jeden cień, nie znalazły się na niej przypadkiem, — wszystko to musiało najpierw powstać w umyśle malarza czy rysownika, następnie zaś przejść całą historję pracy skomplikowanej.

Podobnie, jak z tapetą, postępujemy z każdą rzeczą. Ani nam na myśl nie przyjdzie, że każdy, choćby najzwyczajniejszy przedmiot, składa się z wielu szczegółów, świadczących o pracy umysłowej, która go wytworzyła.

Możemy to bardzo łatwo sprawdzić. Spróbujmy opisać dokładnie, drobniogomem, rzecz najskromniejszą w formie, najprostszą, oto np. pióro, które trzymamy w ręku. a przekonamy się, jak mało nauczyliśmy się rozpoznawać rzeczy najpotrzebniejsze.

Dziecko, ucząc się badać szczegółowo otaczające je przedmioty, rozwija w sobie zwoleńnię pojęcie o bogactwie duchowej i fizycznej pracy człowieka, o tem, iż każda rzecz, powstała i urobiona w umyśle, przejść musi jeszcze wiele rąk, zanim stanie się taką, jaką ją mamy przed sobą. I przed oczyma przyszłego człowieka otwiera się wcześniej olbrzymie pole pracy ludzkiej i organizacja jej odnośnie do jednostki.

Jeszcze jeden przykład.

Znamy wszystkie pięć drutów, które robi się pończochę. Już sama sztuka robienia pończochy zasługuje na uwagę i bliższe zainteresowanie; bardzo pomysłowym musiał być mózg, który zdołał obmyślić sposób wiązania nitki, przy pomocy najprostszego narzędzia, w tkaninę mocną i równą. A teraz owo najprostsze narzędzie, jakie sobie wyobrazić można—stalowy drut, ileż faz rozmaitych przebieć musiał, zanim z rudy, wydobytej z ziemi, przemienił się w gładziutką stalową sztabkę; ile rąk pracowało nad nim, zanim dostał się w ręce, zajęte robotą pończochy; ile maszyn, świadczących o genialności wynalazczej człowieka, trzeba było w ruch wprowadzić, zanim stał się tak wykończonym subtelnie.

Ogrom kultury mieści się w tym drobniutkim przedmiocie, który, jako przedstawiający minimalną ilość szczegółów, paroma słowami opisać można: prosta stalowa sztabka, mniej więcej dziesięć do dwunastu cali długa, półtora milimetra gruba, z obu końców tępo zaszpicowana. Każde słowo—to rozdział, rozdziały—tom potężny.

Nie chcę, żeby mnie źle zrozumiano; nie chodzi o to, by naukę o rzeczach przeprowadzać z małym człowiekiem przy każdym, dotkniętym czy ujrzanym przez niego przedmiocie, zatrułoby to życie dziecku i doprowadzało nas często do labiryntu bez wyjścia. Nie należy w niczem dochodzić do przesady, albowiem ta pociąga za sobą przesyt i nudę.

Chodzi o to, żeby rozwijający się mózg nauczył się w rzeczach napozór skromnych, codziennych, cenić sumę połączonej duchowej i fizycznej pracy, będącej najcenniejszą i najtrwalszą podstawą wszechświatowej kultury.

Zofia Seidlerowa.



Ferdynand Hoesick.

FRYDERYK CHOPIN

W PRZEDEDNIU SŁAWY EUROPEJSKIEJ.

(1829—1830).



(Ciąg dalszy).

V.

„Paganini fortepianu.“

(Styczeń—marzec 1830).

Początek roku 1830-go. — Ruch muzyczny. — Na chórze w kościele Wizytek. — Plan napisania opery. — Praca kompozytorska. — Zebranie muzyków u Chopina.

Zaczął się rok 1830-ty. Dziwna rzecz, rok ten, tak pamiętny w naszej historii, jako że w niej zapisał się krwawymi zgłoskami, zaczął się nadzwyczaj pogodnie i wesoło. Sądząc z pozorów, nie nie zapowiadało burzy listopadowej. Przeciwnie, zdawało się, że nastąpiła epoka spokoju, że ucichły wszelkie szemrania, że można się spodziewać dłuższej pogody politycznej. Silne wzburzenie umysłów, wywołane przebiegiem sądu sejmowego, ukłótyło się zwolna; słowem, choć burza wisiała w powietrzu, nikt jej nie przeczuwał. Już

w styczniu ogłoszono uniwersał, zwołujący sejm na dzień 28-my maja, sejm, który miał być pierwszym, otwartym przez Mikołaja I-go, a po którego obradach spodziewano się niemało; tymczasem zaś, skoro się rozpoczął karnawał, cała Warszawa bawiła się, jak nigdy; bale, publiczne i prywatne, maskarady, szlichtady etc., etc., były na porządku dziennym.

Nawet zima, tak sroga i mroźna zwykle, w tym roku była dziwnie łagodną. W jednym ze swych listów z Warszawy, datowanym dnia 6-go stycznia r. 1830-go, pisał Słowacki: „Mrozy już u nas odpuściły, a mnie się zdaje, że już się u nas wiosna zaczyna.“

Wobec tak pogodnego nastroju ogólnego, a zwłaszcza, że to był czas karnawałowy, w całym mieście wciąż rozbrzmiewały skoczne dźwięki muzyki tanecznej, a Chopin, bywając w księgarni Brzeziny, prawie codziennie mógł się spotykać z nowymi „mazurkami, walcami, kotylionami, galopadami, polonezami i kadrylami“ Nideckiego, Brzozowskiego, Krogulskiego, Damsego, Gernerera, Wolffa, Orłowskiego, Kaczkowskiego i Świeczewskiego, tylko, niestety, pod ich szumnymi tytułami kryły się same lichoty, pozbawione wszelkiej wartości artystycznej, Wyjątku nie stanowiły ani „Mazury“ i „Krakowiaki“ Dobrzyńskiego, ani powszechnie tańczony kadryl „Zdobycie haremu“, ani różne „kujawsko-narodowe“ „Mazurki“ Puchalskiego, ani „ulubione“ „Mazury“ Sztorma „grywane na maskaradach“ lub w Resursie, ani „dwanaście tańców na flecik polski“ Niedzielskiego, ani „Mazur do śpiewania“ Sowińskiego, ani „Valse di bravure“ Siekierskiego. Z utworów muzycznych, wydanych w tym czasie, a mogących zainteresować Chopina, na pierwszym miejscu godzi się wymienić nowy „Koncert fortepianowy“ Czernego, „Walc“ Hummla, „Souvenir de la Suisse“, świeżo nadesłany z zagranicy zbiór kompozytorów fortepianowych Herza, oraz „Trio“ na fortepian, skrzypce i wiolonczelę, skomponowane przez Antoniego Orłowskiego. Ponieważ Chopin wciąż jeszcze pracował nad swoim „Triem“, więc go ta kompozycja rówieśnika i kolegi musiała interesować tem bardziej.

Kurpiński, którego spotkał ten zaszczyt, że Chopin jedną z jego melodyj włączył do swojej „Fantazyi z tematów polskich“, wydał w tym czasie układ fortepianowy uwertury i śpiewów z „Krakowiaków i Górali.“ Melodyjami jednak, które w tej chwili zdobywały sobie największą popularność w Warszawie, były różne wyjątki z „Wilhelma Tella“ Rossiniego, świeżo z olbrzymim powodzeniem wystawionego w Paryżu. Motywy z tej najświetniejszej opery twórcy „Cyrulika Sewilskiego“, przerabiane w najrozmaitszy sposób, w Warszawie przyjęły się głównie dzięki „Walcom“ i „Galopadzie“ z motywów „Wilhelma Tella“, wydanych przez Brzezinę. W sferach muzycznych warszawskich „Wilhelm Tell“ był teraz na ustach wszystkich. Zamysłano też o jego wystawieniu w teatrze. Druga opera, która wzbudziła niemałe zaciekawienie w tych sferach, był „Pułaski“ Wojciecha Sowińskiego. Opera ta — jak donosił „Kuryer Warszawski“ — miała być wystawioną w paryżkiej Operze komicznej. Sowiński — jak o tem nie-raz pisały gazety w korespondencyach z nad

Sekwany — zdobył już sobie w Paryżu sławę „doskonałego pianisty.“ „Jego kompozycje — pisał „Kuryerek“, — są powszechnie chwalone. Teraz wychodzą peryodycznie w Paryżu śpiewy i tańce wszystkich europejskich narodów; tenże Sowiński dodaje do tego zbioru nasze „Krakowiaki“, „Mazury“ i „Dumki.“ Przed kilkunastu dniami na wieczorze muzycznym wykonywał te narodowe muzyki i nie tylko od obecnych rodaków, lecz od wszystkich znawców i artystów otrzymał zasłużone pochwały.“ Po za tem ogłosił tenże Sowiński prospekt na dzieło p. t. „Chants polonais nationaux et populaires avec accompagnements de harpe ou de piano“ z tekstem francuzkim i polskim¹⁾. Wśród muzyków warszawskich, przeglądających nowości w składzie nut Brzeziny, nie mało było mowy o tych wydawnictwach Sowińskiego. Mówiono o nich nawet na jednym z publicznych posiedzeń Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Z pomiędzy różnych koncertów najdodatkniej wyróżniły się wystąpienia Serwaczyńskiego i Levitta, oraz „ślepego od urodzenia“ flecisty Grinberga, w teatrze zaś, gdzie już czyniono przygotowania do „Niemej z Portici“ Auber'a i „Hrabiego Ory“ Rossiniego, siedł ciągle stary repertuar, za co już w gazetach zaczęto dokuczać Kurpińskiemu. Największem powodzeniem cieszył się wciąż „Chłop milionowy“, oraz jego parodye. „Chłopie studukatuowy“ Słowaczyńskiego, grywany w Teatrze Rozmaitości. W lutym wystawiono znów po dłuższej przerwie „Cecylię Piaszczyńską“ Kurpińskiego, ale pomimo, że na pierwszym przedstawieniu „słuchacze ciągłymi oklaskami wyrażali swe zadowolenie“, jednak opera ta nie mogła się długo utrzymać na afiszu. Tymczasem, ile razy dawano „Wolnego strzelca“, lub którą ze znanych oper Boildieugo, zawsze było pełno w teatrze. Wystawione kilkakrotnie w tych czasach „Wesele Figara“ i „Flet zaczarowany“ Mozarta również posiadały niemałą siłę atrakcyjną. Najpuściej bywało na tragediach francuzkich. Jeden z bywalców teatralnych tak streszczał w „Gazecie korespondenta“ wrażenia swe, doznane w tym czasie w teatrze przy placu Krasieńskich: „Widzę same opery, nie więcej. Najpoważniejsze tragedye nie mają widzów. Opery dobrze są wystawiane, ale życzyłbym tutejszemu dramatycznemu towarzystwu, aby, jeśli może, obaczyło operę w Odessie lub Petersburgu. Czytałem niedawno rozprawę o potrzebie mienia opery narodowej. Czekalem tej opery i doczekałem się... „Cecylii Piaszczyńskiej.“ Nie śmiem o niej stanowczego dawać zdania, lecz jak mi się widzi, nie może się ona porównać z żadną z oper zagranicznych: same tylko jęki muzyczne, tłumnie pomieszane, bez żadnej śpiewności“²⁾. Można być prawie pewnym, że i Chopin w głębi duszy podzielał tę opinię.

Gdy nadeszła Wielkanoc, we wszystkich kościołach, jak zwykle, wykonano stosowne muzyki: u Paulinów wykonano pod dyrekcją Bielawskiego „Siedm słów“ Haydna, a u Wi-

¹⁾ Zob. „Dziennik powszechny“ z dnia 9-go kwietnia r. 1830-go.

²⁾ Zob. „Gazetę Korespondenta warsz. i zagr.“ № 60 z dnia 12-go marca r. 1830-go.

zytek, pod przewodnictwem Elsnera, uczniowie Konserwatorium, amatorowie i artyści odspiewali „Stabat Mater“ Wintera.

Pomiędzy artystami, uczestniczącymi w tych muzykach kościelnych, bywał także i Chopin, zwłaszcza, jeśli dyrekcyja spoczywała w rękach Elsnera. Ale i w czasie zwykłych nabożeństw u Wizytek, gdy na chórze wykonywano różne muzyki, Fryderyk przyczyniał się do ich usświetnienia, grywając na organach.

Oto, co w tej mierze w swem pięknie „Wspomnieniu Szopena“ pisze Józef Sikorski: „Za czasów byłego Uniwersytetu Warszawskiego, co niedziela i święto uroczyste, odbywało się dla uczniów jego nabożeństwo poranne w kościele PP. Wizytek około godziny 11-ej. Chór, złożony z wychowańców i elewów ówczesnego Konserwatorium, pod przewodnictwem Elsnera, to z organem, to z orkiestrą wykonywał śpiewy religijne. Szopen, mianowicie w ostatnim roku swego pobytu w Warszawie, częstym na chórze bywał gościem i chętnie grywał na organach, to fugi różnych mistrzów, to własne improwizacje. Trudna część grania na organach, t. j. użycie pedału zręczne a bogate, zupełnie mu łatwą była i wiodła go niekiedy do popisywania się prawie, co znów prowadziło do stosownego rozbudzenia głosów klawiatury. I zdarzyło się raz w przerwie między ustępami Mszy, wykonywanej z orkiestrą, że Szopen siadł do organu i za temat wzięwszy zwyczajem sławnych organistów, motyw ostatniego ustępu, jał wylewać z niego bogactwo pomysłów tak wielkie i nieprzerwanym płynące potokiem, że wszyscy, od najstarszych do najmłodszych, ściśnięci około ławki grającego, zadumani, porwani, zapomnieli o miejscu i obowiązkach, na których spełnienie się zebrali. Aż ich rozbudził pospieszny krok zakrystyana, w biegu już zaczynającego perorę: „A cóż u licha państwo tu robicie? Książd już dwa razy *Domine vobiscum* zaczyna, chłopcy dzwonią a dzwonią przy ołtarzu, a organy nie ustają! Panna starsza okrutnie się gniewa.“

W związku z temi bytnościami Chopina na chórze u Wizytek pozostaje także następujące wspomnienie o nim, zapisane przez Wielisława, a bardzo charakterystyczne dla młodzieńczego artysty. „Raz miał Chopin — opowiada Wielisław — zajście z organistą przy kościele Wizytek, Białeckim, poczciwcem, w sztuce swej poruszającym się, jak koń w deptaku. Zdarzało się, że Chopin nie mogąc znieść lichych oklepanek, sam do klawiatury zasiadał i improwizował, bez względu nawet na księdza, odprawiającego mszę. Takie wybryki tolerował mu komendant organów wizytkowskich; ale gorzej było, gdy młody muzyk, posłyszawszy jaki dysonans lub fałszywą nutę, żadnym już dysonansem usprawiedliwić się nie dającą, na mszy studenckiej przemocą prawie odsuwał Białeckiego od klawiatury, i sam siadłszy, grał za niego. Obrażało to starego rutynistę, uważającego się za dość biegłego w swym zawodzie...“ Jakoż nie lubił „tego małego Francuzika“ (jak z przekąsem nazywał Chopina) i nieraz odzywał się o nim: „Ten mały Francuzik myśli, że zjadł wszystkie rozumy w świecie, chce mnie starego uczyć, jak stroić, kalikować, grać na or-

ganach. Tak to teraz jajko chce być mędrsze od kury!“¹⁾

Tymczasem „mały Francuzik“, którego nie dotknęłoby tak boleśnie, jak to złośliwe odsądzenie go od narodowości polskiej, nie ustawał w pracy kompozytorskiej. Przede wszystkim, ulegając namowom przyjaciół, a w pierwszym rzędzie Elsnera, zaczął przemyślać o napisaniu opery. Opera, według mniemania ówczesnych muzyków, była szczytem twórczości kompozytorskiej: kto chciał sobie zdobyć miano kompozytora w wielkim stylu, kto miał wyższe aspiracje artystyczne, ten koniecznie musiał napisać operę, a jeśli się było kompozytorem polskim, to należało napisać operę do libretta, osnutego na tle jakiegoś wypadku z historii polskiej, tak, jak to uczynił Kurpiński, gdy pisał swoją „Jadwigę“ lub „Cecylię Piaszczyńską“, jak to uczynił Elsner, gdy pisał swego „Króla Łokietka“ lub „Leszka Białego“, jak to uczynił Sowiński, gdy napisał swego „Pułaskiego...“ Pod wpływem tych zapatrywań, które jeszcze w tym czasie podzielał bez zastrzeżeń, i Chopin postanowił napisać operę, bo jeśli na tem zasadzały się „wyższe widoki artystyczne“, to on wcale nie należał do tych, co by poprzestawali na niższych. Czując powołanie artystyczne, skoro postanowił zostać kompozytorem, wcale nie wyrzekał się twórczości w wielkim stylu, to jest pisania rzeczy orkiestrowych. Czuł wprawdzie, że jeszcze szwankuje w zakresie orkiestracyi, ale się tem nie zrażał. Z tego założenia wychodząc, całkiem na seryo snuł różne plany operowe, dużo na ten temat rozmawiając z Elsnerem, ten zaś, ufny w „geniusz muzyczny“ swego pupila, bynajmniej go nie zniechęcał w tym kierunku. W jednym z późniejszych listów Chopina do twórcy „Leszka Białego“ znalazł się ślad tych zaniechanych w końcu projektów. „Roku 1830, pisze tam Chopin, lubom wiedział, ile mi nie dostaje i jak mi daleko, gdybym chciał się za którymkolwiek pańskim wzorem pokusić, śmiałem jednakże sobie pomysleć: zbliżę się choć trochę do niego i jeżeli nie Łokietek, może jaki Laskonogi wyjdzie z mojej mózgowicy...“ Niezależnie od tych planów operowych, planów, które jeszcze były mgławicą bez określonych, konkretnych kształtów, komponował coraz nowsze rzeczy, opracowywał i wykańczał dawniej napisane kompozycje. Prócz „Koncertu F-moll“ i „Fantazyi z pieśni polskich“, które w ciągu tych miesięcy wykończył ostatecznie, prócz „Tria“, do którego wciąż jeszcze zaglądał raz po raz, skomponował w tych czasach parę „Mazurków“, w tej liczbie „Mazurka F-dur“²⁾, którego część środkowa tak ładnie naśladuje nutę pieśni ludowej, „Mazurka C-dur“³⁾ i „Mazurka A-dur“, zaczynającego się od naśladowania wiejskiej dudy⁴⁾. Wdzięczne „Trois Ecossaises“, oraz dwa poetyczne „Walce“ nie

¹⁾ „Ze wspomnień“ Wielisława.

²⁾ W wydaniu Fontany, op. 68, № 3. Autograf w albumie panny Emilii Elsner.

³⁾ W wydaniu Fontany, op. 68, № 1, Autograf w albumie panny Emilii Elsner.

⁴⁾ Wpisany do albumu panny Emilii Elsner w r. 1830. Zob. w „Bibl. Warsz.“ z lipca r. 1900 mój artykuł o Józefie Elsnerze. Później wydał go Chopin w przeróbce w tonie A-moll (op. 7, № 2).

do tańca, także zostały napisane w tym okresie czasu¹⁾. Jednocześnie, od samego początku roku, zaczął pisać drugi koncert fortepianowy²⁾.

Na początku marca, mając już dwie największe ze swoich kompozycje, „Koncert“ i „Fantazyę“, zupełnie wykończone, urządził Chopin u siebie prywatny wieczór muzyczny, na który zaprosił wszystkich swoich przyjaciół i kolegów w sztuce, by przed nimi zaprodukować dwie pomienione kompozycje. Chodziło mu o wrażenie, jakie te utwory zrobią na fachowych znawcach, namawiany bowiem, by publicznie wystąpił w teatrze, pragnął wiedzieć z góry, czy grając te rzeczy, może liczyć na powodzenie. Że wrażenie, wyniesione przez słuchaczy, wypadło nadzwyczaj pochlebnie dla młodego kompozytora, o tem najwymowniej świadczyła następująca wiadomość, podana przez „Kuryer Warszawski“ w numerze z dnia 5-go marca 1830-go roku, a przedrukowana nazajutrz przez „Gazetę Polską“:

„Onegdaj u IP. Szopę (Chopin) znowu było liczne zgromadzenie artystów i lubowników muzyki. Młody wirtuoz grał swój „Koncert“ i „Potpourri“ z tematów rozmaitych, a szczególnie na nutę narodowej piosenki „Już miesiąc zaszedł“, oraz „Krakowiaka“ Kurpińskiego i t. p. Powtarzamy zdanie najznakomitszych osób: „Młody Szopę przewyższa wszystkich fortepianistów, którychśmy tu słyszeli. Jest to „Paganini fortepianowy“, jego kompozycje są szczytne, pełne nowych pomysłów.“

Lecz krótka ta wzmianka, choć była pochlebna dla Chopina, nie mogła się mierzyć, pod względem entuzjastycznego tonu, z artykułem nadesłanym przez niejakiego L. C. do „Dziennika powszechnego, a wydrukowanym w nrze 62-im tego pisma, dnia 4-go marca 1830-go roku. W takim tonie nie pisano jeszcze w Warszawie o Chopinie.

(Nadesłane). „Jeden ze znawców muzyki zwrócił uwagę moją na młodzieńczy talent, który pod względem kompozycjei był dotychczas w ukryciu: na talent Pana Chopin, znanego dotąd tylko, jako doskonałego fortepianisty. We środe miałem sposobność poznania go i z innej strony, miał u siebie próbę pierwszej swojej wyższej kompozycjei z całą orkiestrą, i grał własny swój koncert. Między słuchaczami płci obojej byli i znawcy, i amatorowie, i artyści, byli także Kurpiński i Elsner. Nie jestem przyjacielem koncertów na fortepianie i zawsze mi się zdawało, że to jakiś klasyk musiał wprowadzić do sali koncertowej ten instrument, w którym moc tonów i czucia więcej od rzemieślnika, niż od artysty zawisła. Aliści tutaj zapomniałem o tej nieprzyjaźni, gdyż duch twórczy młodego kompozytora poszedł torem geniuszu. Zwolna w nas obudził ciekawość, prowadził w zadziwienie, rozczulał. Zdawało mi się, że w oryginalnych jego myślach widzę głębokość Beethovena, a w ich oddaniu sztukę i przyjemność Humbla. Adażko zwykle nużące w klawikordowych koncertach, zachwyciło wszystkich, a szczególnie miejsce, gdy cała orkiestra szła *tremolando*, a on w recitativach przez różne tony do nas przemawiał. Przypominało mi to podobny pomysł Lipińskiego, lecz tu P. Chopin pewno nie był naśladowcą. Grał nam i fantazyę z tematu pieśni Kurpińskiego „Laura i Filon.“ Nie było tu już tej trudności w eksekucji, jak w koncercie, lecz za to przejmował dziwnem rozłożeniem akompaniamentu, który ledwie że nie słowa całej pieśni przypominał. Wszyscy słuchacze byli żywo przejęci temi utworami, a ci, których artysta żywo obchodził, rozczuleni. Stary jego nauczyciel na fortepianie (Żywny), siedział do łez rozrzewniony. Elsner jaśniał całą radością, gdy, przechadzając się, słyszał o swoim uczniu w kompozycji same tylko głosy podziwienia. Kurpiński już w końcu nawet sam młodemu artyście dyrygował or-

¹⁾ Wpisane do albumu panny Emilii Elsner w r. 1830.

²⁾ Już w marcu roku 1830-go pisze Chopin do Wojciechowskiego, że przed świętami ma nadzieję skończyć Allegro tego koncertu.

kiestra. Jest to talent rzeczywisty, prawdziwy talent. Lecz niechże go P. Chopin nie kryje i niech się publicznie da słyszeć; ale zarazem niech się i przygotuje na głosy zawiści, które zwykle tylko mierności nie spotykają.

(Ciąg dalszy nastąpi).



NASZ KWESTYONARYUSZ PANIENSKI.



XXX.

Odkąd zaczęłam głębiej zastanawiać się nad sobą, życiem, ludźmi i wszystkim, co mię otacza, najgorętszym moim pragnieniem stało się być *człowiekiem*: użytecznym członkiem społeczeństwa, równym mężczyźnie przez wiedzę, samodzielność, niezależność materialną i prawa.

Tymczasem najbliżsi moi przedewszystkiem wzięli sobie za zadanie, wychować mię na *kobietę*, i to kobietę według pojęć dawniejszych, t. j. istotę uległą, pozbawioną woli, wykarmioną okrawkami wiedzy, zdawna przez pleć silniejszą dla słabszej wydzieleniemi (nauka na pensyi), ozdobioną polorem i t. zw. „talentami“ (muzyka salonowa, taniec i śpiew), gwoli podobania się płci onej, wreszcie najzupełniej pod względem materialnym zależną i żadnemi funduszami nie rozporządzającą: wobec prawa zaś podległą ojcu lub mężowi.

Różnice między aspiracyami memi a rzeczywistością budziły w mej duszy nierzadko tak żywiołowe wybuchy buntów i rozpacz, że zdawało mi się nieraz, iż są one nietylko wyrazem mych uczuć indywidualnych, ale chyba echem protestu całych pokoleń niewiast, zeszłych przedemną z tej ziemi, podobnie jak ja czujących i myślących, i podobnie owładniętych, skrępowanych i poniżonych brutalną siłą mocniejszego...

Ale, niestety! bunty i rozpacz wybuchały i ginęły wewnątrz mej istoty, na czynną opozycję zdobyć się nie mogąc: naginana forsownie do cudzej woli, zatraciłam swoją i przestałam *umieć chcieć*, a nawet w ogóle pragnąć czegokolwiek. Stałam się elegancką panną salonową, czekającą na męża, t. j. według moich pojęć parodią człowieka, towarem na zbyciu.

Szczęściem, że rodzice moi, pomimo kraincovej różnicy zapatrywań, kochają mię i dobrzy są dla mnie, więc też pod względem wyboru męża, pozostawili mi zupełną swobodę.

Mając tę swobodę, postanowiłam długo i pilnie obserwować mężczyzn, nim się na wybór zdecyduję. Tymczasem, aby w wegetację moją wprowadzić choć cież moich upodobań, choć surrogat wiedzy i sztuki, rzuciłam się do dzieł przyrodniczych, pedagogicznych i beletrystycznych ostatniej doby i dawniejszych, czytając je na własną rękę, oraz do malowania, choćby dyletanckiego, gdy o gruntownych studiach nie mogłam marzyć.

To przyniosło mi nieco ukojenia, tem więcej, że nie chcąc być pasorzytem w domu, uprosiłam, by mi pozwolono choć dorywczo zająć się gospodarstwem wiejskiem lub miejskiem (mamy posiadłość na wsi i w mieście), oraz uczyć czytać, pisać i t. p. dzieci naszej służby. Pracy zarobkowej (mam patent na nauczycielkę) wyrzec się musiałam, gdyż podobno bieganie za lekcyjami kompromitowałoby pozycję socyjalną naszej rodziny. Wyrzeczenie się możności zarobkowania było mi nieopisanie ciężkiem, gdyż zależny materialnie człowiek, nigdy prawie nie indywidualnego zdziałać nie może, zawsze być musi tylko narzędziem w rękach swych żywicieli, a ja

tak pragnęłam czynu—naokoło tyle nędzy, lez i smutku! Czasem drobny datek w porę ofiarowany wiele, wiele dobrego uczynić może, a mnie na niego nie stać!...

Ale wracam do małżeństwa.

Bardzo długo zdecydować się na nie nie mogłam. Mimo, że serce moje parokrotnie uderzyło żywszą sympatyą dla któregoś z konkurentów moich (jako panna posażna i—podobno—przystojna, miałam i mam ich aż nadto), lecz wprędce chłodło, przerażone widmem dozgonnego między mną a wybranym moim rozdźwięku. Bo, niestety! otaczająca mnie młodzież mężka bynajmniej mojemu pojęciu o mężczyźnie-człowieku nie odpowiada, a ja tylko tego poślubiłabym mogła, kogo musiałabym szanować dla zalet charakteru i umysłu, komu zaufałabym mogła bez zastrzeżeń, kto, jak ja, szukałby i kochał poezję we wszystkim: w przyrodzie, sztuce, życiu, sercu człowieka, etyce wreszcie...

Ogół mężczyzn — według mojej, być może stronnej obserwacji — odznacza się przede wszystkim brakiem zamiłowania do poważnej pracy i poczucia obowiązku, gonieniem za łatwą egzystencją i użyciem, brakiem współczucia dla niedoli jednostek i potrzeb społeczeństwa, upodobaniem do bezmyślnych i niemoralnych rozrywek (conceptów i skoków operetkowo-szansonetkowych, flirtu, kart, hulank, totalizatora i t. p.).

Pomiędzy kandydatami do mojej ręki jeden zaledwie poznałam wyjątek i temu ją w tych dniach przyrzekłam—po ośmiu latach namysłu.

Wahałam się tak długo, gdyż narzeczony mój znacznie jest starszy ode mnie i—brzydki. Zmysł mój estetyczny oponował, rozsądek przemawiał za nim. Usłuchałam wreszcie rozsądku, który mi mówi, że szczerze i głęboko sercem i duszą kochana, oraz że małżeństwo da mi szersze pole do działania, pewne fundusze do rozporządzenia, pewną odpowiedzialność za czyny, pewną swobodę słowa i postępku, zatem uczyni mnie choć w części człowiekiem. A gdy w domu doskonale bezemnie się obejda (mam dorosłe rodzeństwo), zatem „Vogue la galère!“

Na decyzję moją wpłynęło i to przekonanie, że w razie, gdyby Bóg obdarzył mnie dziećmi, mąż mój, nie tylko, że złego przykładu w niczemby im nie dał, ale wszelkich dołożyłby starań, by je na dzielnych i zacnych ludzi, kochających Boga, społeczeństwo, ludzkość, i wszystko, co dobre i piękne, wychować; że zarówno synów, jak i córki kształciłby systematycznie i gruntownie, tak na polu wiedzy, jak sztuki i fachu.

Dzieci mieć nie pragnę, gdy pomyślę, że musiałyby, żyjąc, cierpieć, walczyć i—umrzeć. Gdybym je miała, to choć dla wnuczek radabym dożyć zrównania z mężczyznami wobec prawa w dziedzinie nauki, pracy fachowej i rozporządzalności majątkowej. Ale tego pewno nie dożyję...

Przechodząc do innych punktów kwestyjonaryusza, notuję, że postęp nie tylko dla siebie, ale i dla całej ludzkości, kobiet i mężczyzn, widzę w doskonaleniu duszy i serca na wzór Chrystusowy, zwalczaniu egoizmu i materializmu, miłości dla ideałów i obowiązków, wreszcie na gruntownem zdobywaniu wiedzy, czy to ściśle, czy fachowej lub estetycznej, oraz wytrwałej pracy,

Z dzieł literackich i artystycznych wyróżniam te, w których najprościej i najszczerzej przemawia uczucie, (M. Konopnicka Nowelle i większość poezyi, Gawalewicz „Dusze w odlocie“, Tetmajer „Książka Piotr“ i nieco poezyj, Sienkiewicz „Latarnik“ i parę scen z „Quo vadis?“, Prus „Z legendy starego Egiptu“, „Grzechy dzieciństwa“, Orzeszkowa „Babunia“, „Panna Róża“, „Sitezko“, „Moment“, „Ogniwa“ i t. p.).

Z utworów malarskich uwielbiam prawie wszystkie Grottgerowskie, Matejki „Stacjy-

ka“, „Kazanie Skargi“, „Portret własny“, Prószkowskiego „Spadającą gwiazdę“, „Eloe“, Chełmońskiego i Brzozowskiego pejzaże i t. p., w ogóle te, gdzie najwięcej znajdują poezyi lub głębszej myśli. Z rzeźb najwięcej przypadły mi do gustu „Gładyator“ Welońskiego, „Powrót z ziemi“ Malarskiego i „Tęsknota“ Gersonówny.

Nowym kierunkom nerwowo-zmysłowym, o twórczości „zataczającej pijane kręgi“, nietylko nie hołduję, ale podawanie płodów ich do świadomości publicznej uważam wprost za czyn niemoralny i nieobywatelski, gdyż brudzą one i deprawują myśli i uczucia widzów i czytelników.

Jadwiga.



Z twórczości powieściowej Albionu.



I.

Leży przedemną spora paczka książek oprawnych w żółtawo-białą okładkę, stanowiąca drobną część owej „Collection of british authors“, lipskiej firmy Tauchnitza, zasypującej świat cały mnóstwem powieści, wśród których dużo jest marnych i płowych, ale bywają od czasu do czasu wybitne, ciekawe i dobre.

Z pośród wydanych w ostatnim czasie powieści wybieram kilka najlepszych, aby na nie zwrócić uwagę, a tem samem dać choć słabe pojęcie o najnowszej twórczości beletrystycznej Albionu, którą zajmujemy się tak mało, mniej, niż na to zasługuje. Wybieram przede wszystkim powieści takie, które odbijają w sobie najlepiej i najwyraźniej pewne prądy naczelne, przebiegające w danej chwili organizm społeczny Anglii, dające wyraz aspiracyom chwili, przemagającym kierunkom, trosce chwili, aktualnym zabiegom. Jest to poniekąd chwycenie za puls narodu, zmierzanie gorączki czynu pokolenia, zbadanie myśli, które zaprzatają ten organizm społeczny.

Nigdzie powieść nie zdobyła tego znaczenia, jakie ma w Anglii, gdzie zastępuje niepodzielnie satyrę okolicznościową, broszurę agitacyjną, wkracza w sferę publicystyki i wywiera wpływ olbrzymi.

Dość wspomnieć niedawno zmarłego Waltera Besanta. Nie odznaczał on się wspaniałością formy, ni subtelnnością analizy, ni olbrzymią fantazyą twórczą czy oryginalnością koncepcji. Twórczość jego szła podwójnym szeregiem. Jednym zwracała się ku odległej przeszłości, kiedy „lepiej na świecie bywało“ („The world went very well then“ (tytuł jednej z powieści) i to był kierunek, w którym pisarz nie dał z siebie nic nadzwyczajnego i godnego uwagi, prócz jednej tylko, ale potężnej „Historji Londynu“ od założenia olbrzymiej stolicy, aż po koniec XVIII wieku.

Drugi szereg twórczości szedł równolegle z życiem współczesnem, odsłaniał najsmutniejsze i najboleśniejsze karty tego życia, osadzony jest na gruncie ściśle socyjalnym, oparty na podkładzie głęboko i daleko idącej tendencji społecznej, przepelniony uczuciem gorącym i najczystszy. Zwraca on się do najbardziej chrześcijańskiego uczucia miłości bliźniego, litości dla wydziedziczonych i nędzarzy, przedstawia w jaskrawej barwie niedo-

le najbiedniejszych, fatalny rozdział warstw społecznych, nie znających się z sobą ani zbliżających się do siebie, obcych wzajemnie. Konieczność zetknięcia się wzajemnego, przełamania murów granicznych między możnymi a nędzarzami, oto przewodnia myśl twórczości Besanta; w tem widzi on jedyną drogę do usunięcia nieporozumień, walk, waśni i nienawiści socyalnych. A były to obraz silne i wstrząsające; dość wspomnieć opowieść o ciężkich losach nauczycielek („Katharina Regina“), albo drastycznie i porywająco oddaną niedolę szwaczek w „Children of Gibbon“, powieść będącą jakby *pendant*, „Pieśni Koszuli“ „The Song of the Shirt“, która jest jakby istną Marsylianą nędzy kobiecej.

Walter Besant miał jednak w sobie zbyt wiele energii czynu, by ograniczyć się li tylko do obrazowania istniejącego stanu rzeczy i do twórczości artystycznej. W powieści „All sorts and condition of men“ zastanowił się nad odłączeniem ubogiej warstwy społeczeństwa od wszystkiego, co przyjemnia i rozjaśnia życie, daje wrażenia idealniejsze i podnioslejsze; wskazał na tę duchową krzywdę maluczkich, że nigdy nie dane im jest zakosztować rozkoszy umysłowych i estetycznych wrażeń, że dziś zupełnie wykluczeni są oni od cywilizacyjnego wpływu tych czynników, nie są dźwigani w górę z pomocą sztuki, poezji, muzyki.

Powieść ta była czynem, bo w Anglii słowo wypowiedziane w dobrej chwili ma moc oręża, Tam hasło rzucone przez powieściopisarzy jest zasiewem wschodzącym i dojrzewającym szybko, dającym obfite ziarno. Dziełem Dickensa było zniesienie więzienia za długi, uzyskane oddaniem w opowieści „Little Dorret“ całej ohydy i bezcelowości długoletniego zamykania w więzieniu wierzyteli, nie mających żadnej możności spłacania swych długów. Dziełem Dickensa było położenie tamy spekulacyom wychowawczym i wyzyskom, osłoniętym pedagogicznymi pozorami; starczyło, by wielki artysta w swym „Nickolas Nickleby“ odsłonił smutną stronę życia społecznego, używszy po temu chłoszczącej satyry i ostrej karykatury.

Niedaremne było i silnie rzucone wyzwanie Besanta. W różnych miejscach powstały owe „Palaces of the people“, pałace ludu, osobne domy, uprzystępniające ubogim zdobycie artystycznych wrażeń, szczególnie muzyki, dające odczyty popularne, godzinową rozrywkę świąteczną i wieczorne zabawy, chwile wytchnienia i spoczynku, dające im dobrą i zdrową strawę duchową bez trucizny i odurzenia.

Dzięki działaniu Besanta i jemu podobnych z West-Endu londyńskiego, z dzielnicy bogatych i możnych wychodził zaczął jakiś prąd serdeczny, urosły z współzucia, ale i z obawy przed huczącą w oddali i w podziemiach społeczną burzą i pojawiły się szeregi chętne i żądne poświęcenia i pracy. Dzielnice wschodnie East-End londyński, były dla wszystkich prawie *terra incognita*. Coraz liczniejsze zastępy szczęśliwych i bogatych, uczonych i oświeconych poczęły wylegać z siedzib zamożnych, aby nieść światło i prawdę, mir i piękno, chleb ciała i chleb ducha wynędzniałym, wychudłym mieszkańcom, „wschodniego krań-

ca Londynu;“ wyrazy „podróż na wschód“, straciły swe pierwotne znaczenie pielgrzymki ku krańcom Orientu, Palestyny i Azji; stały się określeniem wyprawy ku londyńskiej dzielnicy nędzarzy dla służby nieszczęśliwym, najuboższym, wydziedziczonym. Pracę i trud w tym kierunku podjęty uznano za obowiązek, za spłatę długu zaciągniętego przez garstkę uprzywilejonych wobec masy ginącej w ciemności i nędzy.

Przyjąwszy to hasło, studenci angielscy, zanim rozpoczną czynne życie i zanim zapręgą się w jarzmo zawodowej pracy, poświęcają kilka czy kilkanaście miesięcy takim praktycznym, bezpośrednim, pełnym trudu ciężkiego studiom spraw społecznych. Powstają w głównych miastach Albionu tak zw. „Osady uniwersyteckie“, nowicyaty socyologiczne. Młodzież żądna doświadczenia i poświęcenia zarazem, zamieszkuje przez czas jakiś wśród proletaryatu, między tłumem nędzarzy, który dotychczas znała tylko z teorii, z opowiadań, z patrzenia nań z ogromnie odległej przestrzeni. Usiłuje żyć z tym tłumem, poznać go, zaprawić się do służby publicznej i społecznego życia zbadaniem tej kwestyi z wszystkich współczesnych najgroźniejszej, najbardziej piekającej a najmniej zbadanej bezpośrednią obserwacją.

Typowe takie osady, rozwinięte na większą skalę, znajdują się w Londynie „Toynbee Hall“, „Oxford House.“ Zamieszkująca w nich młodzież urządza odczyty popularne, usiłuje szerzyć oświatę, łagodne obyczaje, usuwać uprzedzenia, zużywać wszystkie dostępne jej środki, by podnieść i i uszlachetnić proletaryuszy. Niepodobna ocenić ogromu ofiarności skierowanej ku tym celom, niepodobna ocenić osobistych poświęceń młodzieży niesionej gorącym sercem, żądnem heroicznego zaparcia i wyższych ideałów.

Promotorami tego niesłychanie dobroczynnego ruchu byli powieściopisarze tacy, jak pani Humphry Ward i inni, a w szczególności Walter Besant, którzy podjęli te hasła z wytrwałością ogromną i niemniejszą siłą przekonania, nawołując ustawicznie do pracy nad proletaryatem i wśród niego, malując najdrastyczniejsze objawy zdziczenia, nędzy, rozpacz, wzniecali i utrzymywali święty zapal poświęcenia i pracy altruistycznej, bezinteresownej.

Krucjata podjęta przez Besanta trwała lata; zasiew wydał żniwo piękne, praca nie była daremną. Wiodło mu się w życiu; sam powiada (w swej autobiografii, wydanej niedawno, już po śmierci pisarza*) że miał wszystko, czego pragnął, miał spokój domowy, był zamożny, miał powodzenie literackie, szerokie koło serdecznych przyjaciół, a wrogów tylko takich, jakichby się mieć chciało, to jest obłudników wszelkiego rodzaju. I był to człowiek wielkiej i niezamordowanej pracowitości. „Nie mam w tem zasługi żadnej—powiada—tyle dla mnie rozkoszy, ile trudu. Nie umiem przedłużać popołudniowych godzin w klubie, przy cygarze; nie potrafię przemarudzić poranku na przechadzce w ogrodzie; nawet po obiedzie wieczorem pilno mi wrócić do sie-

*) „Autobiography of Sir Walter Besant.“ London, Huttson.

bie, robić korekty, wyszukiwać źródła prac dalszych, przysposabiać zadanie na dzień następny. Nie dobrego nie wyprodukuję inaczej, jak w rannych godzinach od 9 do 1. Popołudniu, biorę się do innych zajęć.“ Praca jego wydała owoce, jakich pragnął; w imieniu zasług około narodu, otrzymał od królowej Wiktoryi tytuł baroneta.

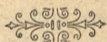
Ostatnia powieść Besanta „The fourth generation“ „Czwarte pokolenie“ nie obraca się w sferze nędzarzy i proletaryuszków. Problemem jej jest jedna z najtragiczniejszych, najzawilszych kwestyi, bo kwestya zbrodni, mszczącej się na dalekich pokoleniach za grzech dalekiego przodka. Czy to kara, czy skutek? Przekleństwo czy ekspiacja? Besant rozwiązania kwestyi szuka w życiu i w księgach zakonu. Przytaczając jednak słowa proroków, nietyle wykazuje karę sięgającą wedle Pisma Świętego „aż po trzecie pokolenie“, ile daje przyrodzony wynik popełnionej zbrodni, wijącego się przez szereg pokoleń następstwa zbrodniczego czynu; oto treść opowieści:

Przed laty siedemdziesięciu popełniono w lasu bukowym niedaleko Londynu tajemnicze morderstwo. Bogaty właściciel pańskiej rezydencji wyszedł z domu w towarzystwie szwagra, a zarazem najlepszego przyjaciela. Wrócił sam. Po niejakiem czasie znaleziono trupa zamordowanego młodzieńca, którego siostra pod wrażeniem katastrofy w kilka godzin umarła. Po utracie żony i szwagra *esquire* Campaigne usunął się w samotność, unikać począł ludzi, zapomniał, że ma dzieci, majątek, obowiązki. Czekał śmierci, a śmierć nie przychodziła. Zamknął się w domu, gdzie nikt go nie nachodził i zdawało się, że nawet mówić zapomniał. Tak mijały lata. Dzieci jego rosły w zaniedbaniu, bez opieki, bez wychowania i kształcenia. Tej zbrodni dokonanej nikt nie wyjaśnił i morderca uszedł rąk sprawiedliwości. Trzy pokolenia nastąpiły po sobie, a milczący i samotny starzec żył jeszcze, i każde pokolenie tylko plamy przynosiło rodzinie: samobójstwa, fałszerstwa, ruinę majątkową, upadek moralny. Wszyscy liczyli na spadek po milczącej głowie rodu, której miliony rosły niepodnoszonymi procentami; wyczekiwali śmierci starca. Tu i ówdzie odzywały się lepsze pierwiastki. Ostatni dziedzie ordynacyi sam sobie zdobył sytuację społeczną, jako prawnik; powodzi mu się, jest szczęśliwy. Spotyka prawniczkę zamordowanego ongi tajemniczo szwagra swego pradziada, kocha ją, oświadcza się o nią. Panna odtrąca go, twierdząc, że komu się zanadto powodzi w życiu, kto nigdy się nie spotkał z przeciwnościami, ten nie jest zdolny do miłości głębokiej, szczerzej i trwałej i tylko ten, który przecierpi wiele, ten kochać potrafi. I w tej sytuacji Leonard, bo tak się nazywa dziedzie milionów, odnajduje falangę ubogich, znikczemniałych krewnych, czyhających na podział milionów jego pradziada. Wchodzi na ślady tragedyi spełnionej niegdyś i nigdy niewyjaśnionej. Jakby zniewolony fatalnością studjuje sprawę, i przychodzi do przekonania, że mordercą był stuletni prawie pradziad jego, ów milczący, jakby skamieniały starzec, który ongi w przystępie szalonego gniewu zabił szwagra, stał

się powodem śmierci swej żony i rozpoczął długi szereg klęsk, nieszczęść, upadku i zwyrodnienia swego potomstwa. I Leonard staje się mścicielem swego rodu; szczęściem, w krytycznym momencie jawi się anioł przebaczenia; prawniczka zamordowanego, tknięta szalonym cierpieniem i walką młodego człowieka, niesie mordercy słowo pokoju. Lecz wprzód starzec musi się ukorzyć dobrowolnym wyznaniem wobec ludzi, których sprawiedliwość go ominęła. Bez tego nie będzie pokoju, nie nastąpi wyzwolenie. Dopiero gdy niemy od lat tylu morderca zakłęty przez czwarte pokolenie cierpiących przez i za jego winy, złobywa się na wyznanie swej zbrodni, pokój wstępuje w jego duszę, wraca mu pogoda, rozwiązują się pęta jego ciała i duch więziony w nich ulatuje w wieczność.

Jest to powieść, bądź co bądź, niepospolita założeniem i przeprowadzeniem, mająca w sobie ustępy potężne, wstrząsające obrazy upodlenia i zwyrodnienia. Tragiczny nastrój utrzymany jest doskonale i pomimo bliskości melodramatycznych efektów nie wpada w nie autor nigdy i broni silnie i przekonywająco postawionej przez siebie tezy, że indywidualne szlachetne pierwiastki wyłamać się mogą z pod przekleństwa, ciężącego na całym rodzie, że ani atawizm nie przeszkodzi, ani zbrodnia przodków nie przygniata prawych jednostek, szukających dobrej drogi, wstępujących na nią i trwających w niej. Powieść o „czwartym pokoleniu“ jest jednym z najlepszych dzieł zmarłego pisarza, choć szwankuje miejscami w budowie. Mimowoli przypomina się czasem najnowszy dramat p. Przybyszewskiego „Matka.“ Motyw ten sam, ale w przeprowadzeniu jego nasz pisarz idzie w zupełnie innym kierunku, niż poszedł pisarz angielski; który z nich ma rację? To kwestya zapytawania. Ja wolę tezę Anglika.

Puk.



Z TEATRU.



„Po nad wodami“ Engla. — „Luminarz“ Stanisława Kozłowskiego.

Sztuka, ta Wielka i Jedyna przemówiła ze sceny „Rozmaitości“ w dramacie Engla „Po nad wodami,“ i przemówiła głosem pełnym i uroczystym.

Jest w utworze tym dziwna moc, a jednocześnie prostota; jest poezya dzika, żywiołowa, jak i te fiordy, nad którymi dramat się rozgrywa; jakaś powaga surowa, niby odbicie grozy i majestatu natury północnej, unosi się nad temi postaciami, tak nam obecnie dalekiemi, że zdałyby się nam niezrozumiałe, gdyby poeta nie tchnął był w nie takiej mocy życia i duszy.

W sztuce grzmi niebo, ryczy morze, huczy burza, wyją wichry, a z pośród tej nawałnicy wyrasta niby z fal sterzący maszt strażackiego statku—krwawy dramat ludzki.

W utworze Engla uderza niezwykle prostota środków artystycznych, za pomocą których osiąga on wrażenie potężne.

Sam pomysł wprowadzenia morza, jako tła sztuki, wplecenia żywiołów w psychikę wstępujących na tle tem ludzi i zaprzęgnięcie ich, jako czynnika oddziaływającego stale na widza, jako — że tak powiem — głównego a-

ktora; jest wysoce artystyczny, oryginalny, a w efekcie potężny.

To morze rozrukane, które widz czuje za sceną, prawie że widzi te tabuny chmur ciężkich, których huk i łomot dziki nieustannie ma w uchu; ten ryk i poświst wiatrów, które jak demony z szalonym chichotem wpadają na scenę przez niedomknięte drzwi: wszystko to razem tworzy tło wspaniałe, dziko-królewskie.

A na tem dziwnem tle postaci równie dziwne. Rzecz dzieje się w ubogiej wiosce, rzuconej na brzegu morza, niby jaskółcze gniazdo, zawieszono nad przepaścią. Ludność tu zła i zepsuta; od kościoła stroni, w karczmie pędzi życie; rozpusta, pijaństwo i zgorzenie dokoła. Dużo w tem winy starego pastora wioski, który z pobłażliwością przymykał oczy na grzechy parafii, a jak niektórzy utrzymywali, i sam brał w nich udział. Dochodzi do tego, że go zawieszono w urzędzie, a na miejsce jego zjeżdża następca. Młody pastor jest inny. Dusza fanatyczna, ciasno pojmująca naukę chrześcijańską, lecz tym fanatyzmem właśnie potężna; uczeń Chrystusa, nie tego, co Jawnogrzeszniczy bronił przed ciosami faryzeuszów, lecz tego, co za powrót schwycił, by nim ze świątyni Pańskiej wygnąć przekupstwo i sromotę. Ten bierze się energicznie do dzieła: chce złe wyrwać z korzeniem, lub wypalić, jak kąkol lub chwast, zaśmiecający zboże. I twardych używa środków. Ot, świeżo w wiosce umarła kobieta, znana ze złego życia, która córkę własną w błoto zaprzedała.

Dziewczyna wpada do plebanii błagać pastora, by poszedł za pogrzebem matki. Stary pastor poszedłby, lecz nie może, bo zawieszony w urzędzie. Młody nie pójdzie, bo nie chce, bo świętą suknię kapłaństwa splamiałby, idąc za ciałem takiej kobiety. I córkę precz wypędza, jak nieczystego gada. Ale ona tu wraca,— sprowadza ją do plebanii coś silniejszego nad ludzkie względy, nad zło i dobro—morze. Tego dnia właśnie zerwała się burza tak straszna, jakiej nie pamiętają najstarsi ludzie. Morze się rozpuściło, pieni się i wściekle bije o brzegi. Ale młody pastor i żywiołowi straszemu rzuca rękawicę: na brzegu dla osłony wioski buduje tamę. Morze przyjmuje wyzwanie: zawyły wichry, krwawe błyskawice rozdarły niebo, a fale z hukiem uderzyły o słabą zaporę ludzką—i tama pęka. W chwilę później morze jest już we wsi. Zaptapia wszystko, jedna plebania ocalała na wzgórzu, a w niej ludzi pięcioro: dwóch pastorów, dwoje służących i owa dziewczyna, którą pastor precz wypędził, a którą mu morze, jako towarzyszkę niedoli narzuciło.

O ile w akcji pierwszym czuło się nastrój walki: żywy ruch, napięcie nerwów, o tyle w drugim scenę wypełnia rozpacz głucha i przygnębienie. Woda wznosi się coraz wyżej, lada chwila zaleje chatę i zatopi tych pięcioro. Niewidzialne widmo śmierci snuje się między skazańcami. A w tych duszach, rzuconych losem w jeden korab ocalenia, wobec grozy zbliżającej się katastrofy, dzieją się poczynają dziwne rzeczy. Dzika dziewczyna coraz baczniej wpatruje się w swego wroga. Moc, z niego bijąca, pociągają ją ku niemu bezwiednie. I powoli w tej ciemnej duszy budzą się cudne brzaski uświadomienia moralnego; ona zaczyna rozróżniać zło od dobrego; widzi swą nędzę dawną, uczuwa skruchę i błaga o przebaczenie.

Ale pastor jest nieugięty: odpycha ją po raz drugi. Ta scena spowiedzi Justyny, z porywającą siłą odegrana przez p. Siemaszkową, jest jednym z najpiękniejszych momentów dramatu.

W akcji trzecim woda zalała już plebanię. Nieszczęśliwi schronili się do kościołka na górze. Woda już nie wzrasta, lecz odejłym od świata grozi śmierć głodowa. W tym akcji jako ton ogólny dźwięczy nuta apatyi. Ci

ludzie już zwątpili o życiu. Im tęskno za śmiercią. Ciała ich słabną. Nagle Justyna znajduje za ołtarzem butelkę wina. Wszyscy się pokrępią, prócz młodego pastora; on pić nie będzie wina poświęconego. Raczej śmierć. Ale siły go zawodzą i pada zemdlony. Nieprzytomnemu dopiero wlewają wino do ust.

I w jego duszy również zaczyna się proces przeradzania. Żelazny fanatyzm mięknie, nieuznawane dotąd uczucie tkliwości i przebaczenia wzbiera w sercu. W upadłej dziewczynie odnajdywać zaczyna duszę i do tej duszy przemawia. Mówi jej o tem, że odkupić może przeszłość wielkim poświęceniem siebie dla innych. Justyna słucha go z przejęciem, ale z początku go nie rozumie. Jego nauka staje się dla niej jasną wtedy dopiero, gdy los rzuca im przed oczy możliwość ocalenia. Tam, wśród skał u brzegu widać łódź; fale podrzucają ją, płasza wesoło, jak najada. W tej łodzi jest ocalenie dla nich. Ale jak ją zdobyć? Kto się odważy na śmierć prawie niechybną?

I w tej chwili duszę Justyny rozświeca nagle niby błyskawica, jedna myśl jasna. Ona teraz rozumie, o czem jej mówił pastor i bez wahania rzuca się w morze, by choćby kosztem własnego życia ocalić tamtych. Fale ją porywają i o skały druzgoczą. A w dali, na widnokregu, ukazuje się łódź rybacka, niosąca ocalenie.

Dramat Engla wystawiono z niebywałą u nas pomysłowością efektów scenicznych. Burza, szalejąca na morzu, odtworzona została środkami zakulisowymi z prawdą ludzącą.

Pani Siemaszkowa z roli Justyny stworzyła arcydzieło sztuki aktorskiej. Szczerosć i prawda w ruchach, spojrzeniach, głosie i akcentowaniu, posunięte do takiego stopnia, że widz zgola zatracza świadomość, iż jest w teatrze, i że ma przed sobą aktorkę, odtwarzającą cudze myśli i uczucia. A przytem p. Siemaszkowa umiała uwydatnić całą poezję postaci Justyny: był to prawdziwie dziki ptak morski, żywiołowo piękny.

P. Siemaszkowa nie równego miała partnera w osobie p. Nowickiego; artysta nie dosyć indywidualnie pojął i uwydatnił psychikę postaci tego Savanaroli północnego; przytem w scenach wybuchu brakło mu potrzebnej siły.

Pan Rapacki w roli starego pastora zarysował postać charakterystyczną, chociaż nie jednolitą.

Służących odegrali p. Borkowska i p. Szo-bert.

* * *

Satyra nazwał p. Kozłowski swoją sztukę, choć „Luminarz“ satyrą we właściwym tego słowa znaczeniu nie jest. A nazwał ją tak, bo.. trzeba było dać jakąś etykietę sztuce; ambicya dramaturga nie pozwoliła mu nazwać swego utworu krotoczwilą; chwalebny samokrytycyzm powstrzymał go od nadania mu tytułu komedii. I tak powstało miano satyry. W samej rzeczy atoli właściwego pierwiastku satyrycznego jest w „Luminarzu“ nie wiele. Przedewszystkiem p. Kozłowski nie chłoszcze krwawo zjadliwym biczem ironii i gorzkiego sarkazmu: on trzepie tylko i to z taką pobłażliwością i ojcowską pogodą, że po tem trzepaniu nie tylko pręg sińskich, ale nawet śladu nie zostaje. Po drugie, p. Kozłowski nie przez łzy się śmieje—lecz szeroko, jowialnie, wesoło; śmieje się, bo chce przedewszystkiem rozbawić widza. Satyra uczy; sztuka p. Kozłowskiego śmieszy tylko. I tak się p. K. obawia, by czasem nie spłoszyć tego dobrego usposobienia i pogodnego nastroju i wesołości w widzu, że na ołtarzu śmiechu składa i prawdę życiową, i logikę sytuacji, i konsekwencję charakterów. Sztuka kończy się pogodnie: cnota zwycięża, występki jest ukarany, a widz opuszcza teatr z błogiem przeświadczeniem, że jednak wszystko się dzieje dobrze na tym najlepszym ze

Wyprawy od Rb. 100 ze znaczeniem,
Wszelką gotową bieliznę damską i pościelową
POLECA
Specjalny Magazyn

JÓZEFA VETTER

W WARSZAWIE
PLAC TEATRALNY, DOM STĘPKOWSKIEGO
(WIERZBOWA 9).

Cenniki na żądanie bezpłatnie.

ZOSTAŁA OTWORZONA

Pracownia Bielizny i Haftu
H. ZBRANIECKIEJ

KRÓLEWSKA Nr. 17 (front).
Modele Paryżkie. Wykończenie wykwiłtne.
Ceny przystępne.

Magazyn Mebli oraz Zakład Tapicersko-Dekoracyjny

Ant. STRÓMIŁO
25. BRACKA 25.

Poleca całkowite urządzenia apartamentów od najskromniejszych do najwykwintniejszych.—Stolarnia własna.—Ceny niskie.

Wydawnictwo księgarni
JÓZEFA ZAWADZKIEGO
w Wilnie (filja w Kownie).

KUCHARKA z przydaniem
LITEWSKA dokładnej
dyspozycji stołu.
przez W. A. L. ZAWADZKĄ.

wyd. 9-te przerobione i powiększone.
Cena Rb. 1.50, w kartonie Rb. 1.70, opr.
w płótno Rb. 2.

GOSPODYNI czyli nauka
LITEWSKA utrzymywania
porządku domu.

Wyd. 10-te poprawne.
Cena brosz. Rb. 1.20, w kartonie Rb. 1.40,
opr. w płótno Rb. 1.70.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

OD
KATARU



BORO * *
MENTOL
provizora farm.

J. Kuczuka

Cena kop. 30.
Sposób użycia jest przy
każdej tutce.

Sprzedaż w Aptekach
i Składach Aptecznych.

Reprezentant
S. M. GOLDBERG
Warszawa, Karmelicka 5.

WYDAWNICTWA
GEBETHNERA i WOLFFA.

Wacław Sieroszewski
POWIEŚCI CHIŃSKIE

UANG-MING-TSE, KULISI
JANG-HUN-TSY (Zamorski djabeł).
Cena rb. 1 kop. 50.

Tegoż autora poprzednio wydane:
Brzask — Puszcza Białowieska. — Grecka
szeluzina. — Dno nędzy. 1.40
Latorośle. — Pustelnia w górach. —
Czuczka. Z ilustracjami K. Gor-
skiego i J. Pankiewicza. 1.20
Na kresach lasów, pow. wyd. 2-e
Risztau, powieść z ilustracjami A. Ka-
mińskiego. 1.20
W matni. Jesienią. — Skradziony chło-
pak. — Chajlach. — W ofercie Bog-
gom. Wydanie 2-e. 1.—

Sensacyjna wiadomość
dla PAŃ!!
Nowo-wynaleziony patentowany
ELASTYCZNY GORSET PABSTA
nie gumowy
poddający się każdemu ruchowi bez uciskania ciała, a mimo to nada-
jący figurze piękne kształty, trwałe i nader swobodny w noszeniu.
**Wyłączna sprzedaż na Cesarstwo i gub. Król.
Pol. w magazynie gorsetów nieszkodliwych**

„HIGIENA”
SENATORSKA № 32 w WARSZAWIE.
Ceny: *Drill* 5.50 *batyst. i tiulowy* 7 rub. *jedwabny* 10.50

Obstalunki zamiejscowe wysyłamy niezwłocznie za zaliczeniem pocztowym z dolicze-
niem 50 kop. za przesyłkę i opakowanie. Do obstalunku należy dołączyć **rozmiar
talji jednej połowy** używanego gorsetu lub numer takowego.

Antigorset „Platinum”
Wyłączna sprzedaż na całą Rosję i Królestwo Polskie w magazynie
Gorsetów nieszkodliwych **„HIGIENA”**
w Warszawie, ul. SENATORSKA 32, I-e piętro.
Szczegóły w № 38 tegoż pisma

*
PRACOWNIA
Okryć Damskich
i Kostyumów Angielskich
St. Kleniewskiego
Krakowskie-Przedmieście № 14,
vis a vis kościoła Świętokrzyskiego.
*

W. Golińska
Gmach Teatralny
poleca
Nowości w zakresie galanterii
**BRONZY, ALBUMY,
NESESERY,
WACHLARZE, RĘKAWICZKI,
RAMKI.**

Zajmująca nowość wyszła z druku:
Żywoć i myśli
Barbary Podfilipskiej.
Napisał Van Faron
Ciekawe dzieje dwojga małżonków
Państwa Podfilipskich.
Cena rb. 1, z przesyłką rb. 1.10.
Adres wydawcy J. Rebszlegier, Warszawa
ulica Solna № 8.

Cykoria
„Swidniki-Gloria”
fabryki Jana Węglarskiego
nagrodzona na Wystawie Kucharskiej
medalem złotym.
Sprzedaż we wszystkich
poważniejszych skle-
pach kolonial-
nych. *

Egzystująca od lat 15 w Warszawie
przy placu Św. ALEKSANDRA № 11
Szkoła Kroju
L. SKWARECKIEJ

Mistrzynie cechowej z dyplomem Paryżkiej szkoły kroju „du Moniteur de la
Mode” odznaczony w Paryżu rządowym patentem 1-ego stopnia i świadectwem
szkoły kroju „Laroch’a”. Przyjmuje uczennice, które po otrzymaniu patentu
cechowego mogą zajmować posady nauczycielek w szkołach rządowych. Kurs
kroju na świadectwo cechowe rb. 62, na domowy użytek rb. 25. Nauka szycia
3 rb. miesięcznie. Zapis uczennic 1-go Września.

UWAGA. Oddzielne kursa szycia kostyumów angielskich, pod kierunkiem krawca specjalisty.
Osoby fachowe uczyć w przeciągu 12-tu lekcji za opłatą 20 rb., specjalne kursa
staników francuskich, angielskich i balowych.

Pierwszorzędne biuro nauczycielskie
GOLCZEWSKIEJ
Święto-Krzyżka 44.
Poleca nauczycieli, nauczycielki, bony, cu-
dzoziemki, gospodynie, panny służące.



FOSFATYNA FALIERA
przyjemny pokarm, najodpowiedniejszy dla
dzieci od 6 miesięcy do 10 lat, zwłaszcza
w czasie odłączania od piersi i w okresie roś-
nięcia. **Ułatwia żabkowanie i zapewnia pra-
widłowy rozwój kości.**
Sprzedaż w składach aptecznych i aptekach.

Gimnastyka Szwedzka
dla zdrowych i wątłych
stosuje się także w skrzywieniach kręgosłu-
pa, nierównościach łopatek, w nerwowości,
anemii, w wielu objawach złego krążenia
i trawienia, pod stałym kierunkiem lekarskim
w **Zakładzie Heleny Kuczal-
skiej, Moniuszki 9, gmach Tow. Rossya.**
Ceny: 3 rb. miesięcznie pedagogiczna; 10 rb.
lecnicza z masażem. Dla gimnazystek i pen-
syonarek niższe. Kursa wieczorne dla pracu-
jących miesięcznie rubla. Chłopcy do lat 12.

SZKOŁA KROJU i SZYCIA
Emilji Ehrenkreutz
w Warszawie Zgoda 3, Chmielna 24.
Krój Paryżki. System Worth’a. Patenty
***** cechowe. Pensjonat. *****

amouczech
Są do nabycia we wszystkich
księgarniach dzieła pedagogiczne
Reussnera do bardzo przedkij i naj-
łatwiejszej nauki **Języków Obcych**,
bez nauczyciela z objaśnieniem wy-
mowy i z kluczem pod tyt.:
Polsko-Niemiecki kurs wstępny
(Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40;
kurs I-y k. 60, kurs II-gi rb. 1.60.
Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24,
40 i 2.20.
Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20;
kurs II-gi rb. 3.20.
Gramatyka Polsko-Francuska
kop. 1.20.
Polsko-Angielski kurs I-szy kop.
75; kurs II-gi kop. 1.20.
Polsko-Ruski kurs I-y kop. 1.40;
kurs II-gi kop. 1.80.
Skład u autora,
Warszawa, ul.
Złota № 6.

GRONKIEWICZ
Królewska 5.
Telefon 1758—w Warszawie.
Poleca osoby pracujące w dziale Nauki
i Wychowania, Handlu, Przemysłu, Rolnictwa
i Różne, tylko z dobrymi poufnie sprawdzo-
nymi referencyami.

DLA MATEK!
Dr. Z. Taussig
Dziecko do lat dwóch
Rady i wskazówki dla matek, przy odżywia-
niu i pielęgnowaniu dzieci, tudzież zapobie-
ganie ich chorobom.
przekład Dr. I. L.
Cena kop. 60.
Nakład JANA FISZERA w Warszawie
9. Nowy-Świat 9.

M. MANKIELEWICZ

TELEFON № 1456. GMACH TEATRU TELEFON № 1456.

PIERSCIONKI NOWE MODELE
KOLCZYKI: BRYL., PERŁY I KOL. KAMIEŃ
BROSZE: BRYL., PERŁY I KOL. KAMIEŃ
BRANSOLETY ŁAŃCUSZKOWE
ŁAŃCUCHY DŁUGIE NA SZYJĘ
BRELOKI ZŁOTE, SREBRNE I EMALIOWANE
LUSTERKA ZŁOTE Z KAMIENIAMI
WORECZKI ZŁOTE OD 16 DO 1600 RUBLI
PORTE-VISITES W ZŁOTO OPRAWNE
OŁÓWKI, OBSADKI, NOŻE DO PAPIERU
PAPIEROŚNICE ZŁOTE Z KAMIENIAMI
PAPIEROŚNICE SREBRNE I EMALIOWANE
ZAPALNICZKI ZŁOTE I SREBRNE
WYROBY SREBRNE: ZASTAWY STOŁOWE,
ŻARDINIERY, KANDELABRY, PUHARY,
DZBANY DO WINA, PRZYBORY DO WÓDKI
I LIKIERU, SERWISY DO KAWY I HERBATY,
KOSZYKI, KOMPOTIERY
PRZYBORY DO SAŁATY I RYB
OBJETS D'ART ET DE FANTAISIE RICHE.

NAJWIĘKSZY WYBÓR. REALNE NIZKIE CENY.

PRACOWNIA KÓLDER MARYI POMORSKIEJ

Marszałkowska 144, wejście z Rysiej.

Poleca koldry gotowe, przyjmuje materiały do roboty oraz zamówienia na wyprawy.
Ceny przystępne.

Wielki wybór!

MEBLE
„Maison Nipon”
9. SZPITALNA 9.
BAMBUSOWE.
Ceny znacznie niższe!

Baczność!

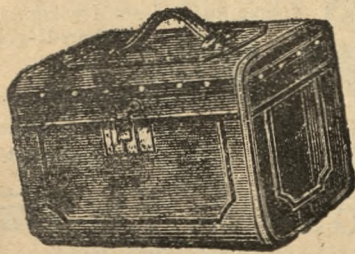
Baczność!

SZANOWNE PANIE. *Oszczędność to cnota społeczna!*
Uwagę Ich polecamy znany w Warszawie Zakład Re-
paracji, czyszczenia, prania chemicznie, przerabiania we-
dług mody garderoby Męskiej i Damskiej. Marszałkowska 143, w podwórzu. **JAN.**

I. WASIŃSKI

12, Mazowiecka 12. Warszawa.

PORTMONETKI. PORTFELE.
NESESERY DAMSKIE I MĘSKIE.
NESESERY DO ROBÓTEK RĘCZNYCH.
WYBÓR WIELKI.
CENY PRZYSTĘPNE.



Kalosze letnie i zimowe
wszystkich fasonów; **Płaszcz**
e i peleryny nieprze-
makalne; **Buty** filcowe
i wojskowe; **Buciki**, pół-
buciki ciepłe męskie, dam-
skie i dziecinne; **Serdaki**

męskie, damskie i dziecinne; **Kurtki** skórzane
(szwedzkie); **Pledy**; **Koldry** bajowe podróżne;
Dery; **Burki** sławuckie; **Kufry**; **Walizy**; **Torby**
i **Nesesery** poleca **Centralny Skład Fabryczny**

J. ROKICKI i S-ka WARSZAWA,
1. Nowo-Senatorska 1.
HOTEL RZYMSKI.

Ceny fabryczne. Cenniki na żądanie gratis.

GŁÓWNY SKŁAD ZYRARDOWSKI

KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE № 55 W WARSZAWIE.

Poleca w wielkim wyborze:

PŁÓTNA, STOŁOWĄ BIELIZNĘ, RĘCZNIKI i t. d.
letniego bielienia.

CHUSTKI DO NOSA BIAŁE I KOLOROWE.

MATERJAŁY PUCHOWE. FLANELE. BARCHANY.
WYROBY POŃCZOSZNICZE.

BIELIZNĘ DAMSKĄ I MĘSKĄ. WYPRAWY GOTOWE.
FIRANKI OD RB. 2.75 ZA OKNO. DYWANY. PORTJERY.

Nowe modne perfumy

„Apotheose“

Fabr. L. Legrand, Paryż.

Lucyny Ówierczakiewiczowej 365

OBIADÓW PRZEPISY

wraz z dyspozycją obia-
dów na każdy dzień roku

!!95-ty Tysiąc!!

stronnic 560.

Cena rb. 1.80, w oprawie rb. 2.

JEDYNE
praktyczne

konfitur, konserw, soków, marynat,
wędlin, wódek, likierów, win owoc-
owych, ciast i t. p.

!!57-my tysiąc!!

stronnic 462.

Cena w oprawie rb. 1.50.

Najlepsze książki kucharskie, nagrodzone na Wystawie Kuchar-
skiej 1902 r. **Wielkim Srebrnym Medalem** oraz po-
twierdzeniem **6 poprzednio otrzymanych nagród.**
Ilość 152,000 dotąd sprzedanych egz. tych książek najlepiej świadczyć może o wy-
sokiej wartości tychże.

Nakład Jana Fiszera w Warszawie,
NOWY-SWIAT 9.

NAUKA KROJU W DWIE GODZINY!!

Nagrodzony wielkim medalem złotym na konkursie wszechświatowym w Paryżu 1900 r. i uznany przez profesorów
kroju paryskiej akademii za najłatwiejszy i najdokładniejszy system kroju ubrań damskich i dziecinnych.

„PATRON EXPRESS”

Mechaniczny przyrząd opatento-
wany w Europie i Ameryce
pomysłu nauczyciela kroju K. Lewana 1890.

Patron „Express” zrobiony z trwałego kartonu daje się zastosować do każ-
dej figury proporcjonalnej i nieproporcjonalnej.
Ułożwszy Patron „Express” wprost na materiale kraje się podług niego.
Przy użyciu Patronu „Express” nauka kroju i rysowanie form są zbyteczne.
Dla obeznania się z Patronem „Express” wystarczy jednorazowe objaśnienie
lub przeczytanie opisu.

Nastawienie Patronu „Express” podług zdjętej miary trwa nie dłużej jak dwie minuty.
Patron „Express” służy zarówno dla osób, które ani krajać, ani szyć nie
umieją, jak dla znających krój, dając możliwość pierwszym szybkiej nauki, drugim pośpiech
i wykwintność w robocie. Patron „Express” już jest rozpowszechniony we Francji,
Belgii, Anglii, Szkocji i Ameryce. W Warszawie Patron „Express” jest uży-
wany w wielu pierwszorzędnych magazynach.

Cena „Patronu Express” z opisem rb. 5, z przesyłką pocztową rb. 6.
Wszelkich informacji udziela się bezpłatnie.
Główny skład w magazynie okryć damskich „J. SKWARA” Niecała
№ 14 oraz Mazowiecka № 1.

Tamże można nabywać patrony bibułkowe paryskie co tydzień świeże
i fasony muślinowe wszelkiego rodzaju wykonywane przez specjalistkę sprowadzoną
w tym celu z zagranicy.

Na poczekaniu kroj się formy papierowe lub muślinowe na wszelkie ubrania dam-
skie podług zdjętej miary systemem „Moulage”. Sposób zdejmowania miary wysyła się
pocztą bezpłatnie na żądanie.

Francuzka Szkoła Kroju i Szycia

M-me MERCÉRE

Nowy-Swiat 42.

Krój paryski. Kursy wyższe i niższe. Patenty z **cechu. Pensjonat**,
dla pracujących ceny **zniżone.**